

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV

Łódź, 12 stycznia 1947 r.

Nr 2 (81)

Adam Polańczyk

EGZAMIN POLITYCZNY

Często (zwłaszcza u nas) zakłada się że polityka jest funkcją charakteru narodowego. Twierdzenie takie służy zazwyczaj jako podstawowy pewnik do budowania teorii mającej uzasadnić, że pewne sposoby zachowania się, pewne metody działania i myślenia są dla danego narodu typowe i że wszelkie zmiany w tym zakresie zniszczyłyby lub zniekształciły charakter danego narodu. Kryje się za takim stawianiem sprawy staroświecka psychologia zbiorowości, statyczna i ahistoryczna, o skłonnościach biologizacyjnych, szukająca przyczyn kształtowania się psychiki narodowej nie w procesach historycznych, ale w czynnikach przyrodniczych, jak klimat, ukształtowanie pionowe terenu, stan nawodnienia, zalesienia, urodzajność gleby i t. p.

Dziś rozumiemy już, że historia nie jest przypadkową gmatwaniną wydarzeń, za których jedyne źródło należy uważać ślepią grę przyrodzonych impulsów i bezpośrednie reakcje na zmiany zachodzące w naszym pozaludzkim otoczeniu. Historia jest w naszym rozumieniu dziełem człowieka, dziełem budowanym często pomacku, niedołącznie, z wielu błędami, ale mimo to czymś niesprowadzalnym nigdy w zupełności do biernego kształtowania się bezwzględnej masy pod wpływami czysto przyrodniczymi.

Kwestią najważniejszą jest, by udział naszej świadomości w kształtowaniu się losów większych zespołów ludzkich stale wzrastał, by jak najmniej pozostawało w historii miejsca na grę przypadków, na doraźne improwizacje i na desperackie walenie głową w mur.

Tymczasem u nas hodzi się nadal na ływny przesąd, że historia Polski musi być zawsze cyklem irracjonalnych porywów niepołączonych jedną myślą przewodnią, że instynkt i uczucie muszą w naszych poczynaniach politycznych górować nad trzeźwym rozumowaniem, a to po prostu dlatego, że „my już tacy jesteśmy”.

Jeżeli błędna teoria naukowa znajduje maniaków kruszących o nią kopię, to wystarczy wzruszyć ramionami i pozostawić ostateczne zlikwidowanie tej sprawy fachowcom, jeżeli jednak taka teoria ma możliwość wywierania zgubnego wpływu na kształtowanie się życia zbiorowego, należy się jej bezwzględnie przeciwstawić. Teoria zaś przedstawiająca Kmicica jako wzorcowy typ Polaka jest niewątpliwie i błędna i szkodliwa. Kult militarnego bohaterstwa idącego „za głosem serca” wbrew zdrowemu rozsądkowi, ryzykującego wszystko w imię ambicji „pokazania się”, postawienia na swoim za wszelką cenę — rozgrzesza marnotrawienie sił narodowych w nieogłędnym awanturnictwie politycznym.

Podobnym kultem otacza się u nas pojęcie wolności, rozumianej jako absolutna swoboda w wyborze celów, dróg i metod działania. Okoliczność, że ta „polska wola”, nie posiadająca żadnych hamulców poza dobrą wolą i rozsądkiem swoich wyznawców, łatwo przeradzała się w anarchię, nie psuje humoru jej wielbiicielom. Kiedy takie pojęcie wolności próbuje realizować wyłącznie jednostki, to choćby to byli awanturnicy na miarę Samuela Zborowskiego czy Diabła-Stadnickiego, stosunkowo łatwo ich unieszkodliwić, gdy jednak wchodzi ono w praktyczną filozofię narodową jako jeden z jej podstawowych dogmatów, sprawa zaczyna

przedstawiać się daleko poważniej. Nikt bowiem na świecie nie ma szans zrealizowania tak pojętej wolności. Wiara zaś w ideał niemożliwy do zrealizowania każe widzieć we wszystkich jego częściowych konkretyzacjach ułomność, niepełność, uczy pogardy dla nich i lekceważenia realnie istniejących warunków i możliwości. Tego rodzaju ideały są szczególnie nie-

bezpieczne dla narodów małych, które na pierwszym miejscu swojej mądrości praktycznej powinny stawiać zasadę umiętnego i celowego przystosowania się do istniejących warunków.

Zasada ta może się wydać zbyt oportunistyczna i wygodnicka i trzeba ją niewątpliwie uznać za taką, jeżeli nie jest ona traktowana jako środek, jeżeli za nią

nie kryje się trzeźwa, realna myśl polityczna, wybierająca metody działania w zależności od konkretnej sytuacji. Narod, który chce żyć i rozwijać się normalnie, nie może trwać swoich sił; musi działać ostrożnie i rozważnie, musi posiadać ideologię normującą i określającą jego aktywność. A tego właśnie brakowało nam najbardziej: konsekwentnie realizowanej, jednolitej ideologii politycznej.

Powstała obecnie sytuacja umożliwiająca nam wyjście z chaosu bezładnej szarpaniny, ułatwiająca ukształtowanie się wyraźnie określonej i żywotnej myśli politycznej. W wyborze sprzymierzeńców kierowały nami zazwyczaj względy uczuciowe i one to właśnie czyniły nas bezsilnymi wobec cudzych sprytnych rachub. Wielokrotnie walczyliśmy za cudze interesy, a nie umieliśmy zręcznie wyciągać dla siebie korzyści z ogólnego układu stosunków w Europie.

Dziś sytuacja nasz jest mimo wszystko korzystna, ale prowadząc politykę nieostrożną i nieprzemysłaną dostatecznie możemy stracić tę okazję. Ale, ażeby wygrać naszą kartę, musimy wyrzucić się owych koncepcji politycznych, rzekomo wyrastających z naszego charakteru narodowego, a w gruncie rzeczy będących owocem beznamiętności politycznej naszej szlachty w okresie zmierzchu Polski przedrozbiorowej. Nie potrzebujemy się wyrzekać ducha rycerskiego, romantycznego kultu swobody i niezależności, ale musimy je podporządkować centralnej idei kierowniczej, idei politycznego realizmu.

Walka z Niemcami zakończyła się klęską naszego odwiecznego wroga, ale choć Niemcy przestały być jednym z głównych podmiotów polityki europejskiej, są nadal jej przedmiotem, są wciąż pionkiem, którym gra się na szachownicy różnorodnych ambicji i interesów. Fakt ten ma dla nas znaczenie pierwszorzędne, gdyż jego konsekwencją są próby wyzyskania jako przedmiotu międzynarodowych rozgrywek również naszych ziem odzyskanych. I oto sprawa najbardziej zasadnicza: zejście z linii polityki zagranicznej wytyczonej przez polską demokrację ludową oznacza siłą rzeczy zgodę na to, by część naszego terytorium stała się przedmiotem dyplomatycznych gier szacherek. Wchodząc zaś w tę grę musimy zdać sobie sprawę z tego, że dla Anglii czy U. S. A. nie jesteśmy partnerem tak ważnym i potrzebnym jak Niemcy. Odważając się na politykę zjednywania sobie Zachodu i szukania tam sprzymierzeńców, musieliśmy liczyć się poważnie z bardzo bolesnymi stratami terytorialnymi, których jedyną rekompensatą byłaby mglista nadzieja powetowania ich sobie na innych sąsiadach w wypadku trzeciej wojny światowej. Każdy rozsądny człowiek zdaje sobie sprawę z niedorzeczności takiego postępowania.

Zresztą widmo trzeciej wojny oddala się coraz bardziej, a jeśli ludzkość zdoła zapewnić sobie dłuższy okres pokoju, to jest możliwe, że w przyszłości konflikt zbrojny będzie już zupełnie wykluczony. W każdym zaś razie pewne jest, że wojna nie wybuchłaby przed upływem dłuższego czasu, tak że obecny stan rzeczy w Europie należy uznać za trwały. O ile można zaś stosować taktykę „przeczekiwania” w okresach wyraźnie przejściowych, to byłoby wielkim błędem zdecydować

(Ciąg dalszy na str. 2-ej)

Leonard Sobierajski

Przed wyborami

Okres przedwyborczy to czas uczciwej i surowej analizy tych mniemań, które tworzą w każdym z nas sferę świadomości obywatelskiej. Członek grupy państwowej musi sobie zdawać w tym momencie sprawę, że nie jest on tylko jednostką prywatną, zarządzającą sobie tak czy inaczej swoje własne życie, ale że należy on do tego kręgu szerszego, który prywatność ludzką ujmując w swoje własne, konieczne schematy. Jakość tych schematów zależy od form ustrojowych. Jedną z miar wartości ustroju jest to, w jaki sposób urzeczywistnia on ideę sprawiedliwości społecznej. Ten problem sprowadza się do zasadniczego pytania — kto i w jakim stopniu korzysta z instytucji państwa, kto i w jakim stopniu użytkuje dobra, w jego ramach wytworzone, a wreszcie do kogo w państwie należy wytwarzanie wszelkich wartości, a do kogo korzystanie z nich.

Średniowiecze stworzyło model ustroju feudalno - stanowy. Obowiązki i przywileje w państwie tego typu były wyraźnie rozdzielone. Kierowanie państwem było zawarowane dla ludzi z warstwy szlacheckiej. Praca — wytwarzanie dóbr materialnych, było udziałem ludu. Był to system jakby nawarstwienie; grupy społeczne były wyraźnie od siebie oddzielone jak warstwy ziemi, widziane w przekroju. Urodzenie zamykało człowieka w kole, którego nie mógł przekroczyć.

Rewolucja Francuska system feudalny podważyła. Wiek XIX z rozrastającym się kapitalizmem wprowadza inne kryteria ważności społecznej. Prawo władzy, kontroli i wglądu posiada teraz przede wszystkim ten, kto skupia w swoim ręku środki produkcji. O ile w ustroju feudalnym samo urodzenie predystynowało do zajmowania kierowniczych w państwie stanowisk i do płynących z tego tytułu korzyści materialnych, o tyle w systemie kapitalistycznym pieniądź był punktem wyjścia, jego posiadanie ułatwiała osiągnięcie stanowisk i wpływów. Państwo feudalne było domeną warstwy szlacheckiej, państwo w wieku XIX stało się terenem eksploatacji dla oligarchii pieniężnej. Tak w pierwszym jak i w drugim wypadku warstwy ludowe były skazane na odgrywanie roli gleby, z której inni czerpią soki. Czas ostatnie dzięki wstrząsającym doświadczeniom dwóch wojen światowych, stworzyły w ludzkiej zdecydowaną potrzebę takiego ustroju, który by masom zagwarantował, że państwo jest instytucją działającą dla ich dobra. Ustrój ten to ludowładztwo. Jak je sobie wyobrażamy?

Dla każdego jest rzeczą oczywistą, że państwem rządzić może tylko szczupła grupa ludzi; o jakości tej grupy decyduje baza, która ją wylania. Ta wylaminowa-

na grupa będzie tym cenniejsza dla narodu im szerszą jest baza, która ją wyłania, gdyż wówczas mamy większą gwarancję, że będzie to element najcenniejszy choćby ze względów ostrości selekcji.

Ludowładztwo nigdy nie występuje przeciw narodowi, boć samo przez naród zostało do władzy powołane. W naszej sytuacji Blok Stronnictw Demokratycznych realizuje ideę ludowładztwa. Wszystko, co dzieje się w dzisiejszym państwie polskim stawia sobie przede wszystkim za cel, by warstwie chłopskiej, robotniczej i inteligentkiej zapewnić jak najlepsze warunki ekonomiczne i kulturalne.

Blok Demokratyczny, który kieruje dziś krajem, wziął władzę w swoje ręce w momencie dla siebie bardzo trudnym. Po pierwsze musi się porać z trudnościami powojennymi. Kraj jest w gruzach, przemysł i rolnictwo zdewastowane, zniszczony aparat administracyjny, pustki w skarbie — po prostu zerowy punkt wyjściowy dla każdego podjętego działania. Ile energii trzeba było zużyć na to, by przeprowadzić akcję repatriacyjną. Miliony ludzi przez długie miesiące przesuwali się przez Polskę. Najkapitałniejszym problemem, który rozwiązał Rząd Jedności Narodowej było „puszczenie w ruch” Ziemi Odzyskanych. Dzisiaj po półtora zaledwie roku Dolny Śląsk dymi kominami, porty nadbałtyckie tętnią życiem, plug polskiego chłopca orze nadodrzańskie ziemie. Pracę, którą dotychczas wykonano można by nazwać pracą porządkującą, oczyszczającą grunt pod właściwą budowę. Z początkiem roku 1947 Rząd nasz rozpoczyna wcielać w życie trzyletni plan gospodarczy. Plan ten wypracowali jak najskrupulatniej ludzie Bloku Demokratycznego. Narod powinien zrobić wszystko, aby do pomocy do urzeczywistnienia tego planu. Jego wykonawcom należy zapewnić swobodne pole dla pracy. Najbliższe wybory powinny zagwarantować twórcom planu gospodarczego pełne poparcie całego społeczeństwa. Blok Stronnictw Demokratycznych wykazał się już wobec narodu poważnymi osiągnięciami. Zasluga jego jest reforma rolna i unarodowienie podstawowych gałęzi przemysłu. Tymi aktami społecznie rewolucyjnymi zmienił on strukturę naszego państwa. Stworzył przede wszystkim dla wsi warunki do wyjścia z zastoju gospodarczego i kulturalnego. Po przez reformę rolną rozwiązał w części problem przeludnienia wsi — stworzył dla bezrolnych setki tysięcy nowych gospodarstw pracy z majątków rozparcelowanych i na Ziemiach Zachodnich, poza tym przez rozbudowę przemysłu kieruje pozostałą nadmiar ludności wiejskiej do miast. Dobrobytu wsi łączy się ściśle z realizacją trzyletniego planu gospodarczego.

Anna Kamińska

W Y Z N A N I A

Rękopis wykradziony z materiałów redakcji „Wici”

ROZDZIAŁ I.

— Józiek, a lećże za chłopakami. Sterczy wciąż jak ten kołek u płota.

Byłem dzieckiem poważnym i myślącym. Głębokie umysły już od małości objawiają skłonność do rozmyślań otwartymi ustami i wzrokiem wlepionym w jeden punkt. Wsiadywałem tak pod jabłonką całe godziny i jeśli ani otwarta gęba, ani oczy w ślup nie przyczyniły się do odkrycia, przeze mnie prawa powszechnego ciążenia, to tylko dlatego, że Newton zrobił to podobno dobrych parę lat temu. Matka pędzila mnie za gęsiami i krowami, ale nie bardzo się dawałem. Ojciec orzekł, że jestem leni, matka że słabowity. Czasem tylko, dziwiąc się mojej mądrości gnała mnie do chłopaków na łąkę lub do dębiny. Tak, że kiedy wreszcie posłał mnie do szkoły, siadłem na końcu ławki nie bardzo wierząc w to, żeby mnie nauczyciel czegoś nauczył. Nudziły mnie czytanki i męczyły rachunki. Pocałowałem wszystko. Czyż nie jestem chłop, czy nie mam własnego, chłopskiego rozumu? Nauczyciel dobrze przysiadł swoich wyświechtanych spodni, aby ułożyć sobie w głowie wiele niepotrzebnych wiadomości. Ale on jest inteligent z pochodzenia, choć taki, co to księdzka nie ma w rodzinie, umysł z natury chwiejny, potrzebuje podporę. Nasz zaś rozum posiada od urodzenia stałość i zdrowy sceptycyzm czyli najważniejsze cechy naukowego spojrzenia na świat.

Nie zmadrałem więc wiele przeszedłszy przez szkołę. Nauczyciel mścił się za moją wyższość, sypał mi zło stopnie i wzywał ojca. Nie miałem mu tego za złe. Jest to do pewnego stopnia naturalne, że ten, kogo wiedza kosztuje tak wiele wysiłku, nie może ścierpieć umysłu, który bez trudu i bez oporu dochodzi do dojrzałości. Zresztą tak się objawia mierność. Gdyby zjawił się nagle jakiś genialny człowiek — jest pewne, że bez słowa odnaleźlibyśmy wzajemnie własną mądrość i ręką w rękę opuścilibyśmy ze wzgardą tę hodowlę przeciętności, jaką jest szkoła.

ROZDZIAŁ II.

Słodkie i męczące wspomnienia!

Zakochołem się po raz pierwszy w Łodzi, kiedy raz koło studni zadarła spódnica aż za kolana. Byłbym pewno szczęśliwy, gdyby nie to, że spodobała mi się też córka organisty i chodziłem do niej z pół roku. Dziewczyna była delikatna i popusta, grała na fortepianie marsza i miała wyimaginację. Łodka podejrzała, że coś tam jest między nami i przeskądzała, jak mogła. Zawsze zjawiała się akurat kiedy

EGZAMIN POLITYCZNY

(Dokończenie ze str. 1-ej)

dować się na nią w momencie stabilizacji stosunków międzynarodowych.

W utrzymaniu obecnego stanu rzeczy w Europie środkowej i wschodniej są jednakowo zainteresowane Polska i Z. S. R. R. Można mieć zastrzeżenia co do politycznej ideologii sowieckiej, ale trzeba zdawać sobie sprawę z faktu, że jest ona cementem zespalałym jedynie na świecie mocarstwo, które w imię własnego dobrze zrozumianego interesu jest naszym szczerym, niekonunktualnym sprzymierzeńcem. Silna Polska — to bastion Słowiańszczyzny nad Odrą. Zdają sobie z tego sprawę w Rosji Sowieckiej. Trzeba, żebyśmy i my zdawali sobie sprawę z tego, że silna Rosja jest gwarantem utrzymania się obecnego układu stosunków w Europie i że każde antysowieckie posunięcie na szachownicy polityki międzynarodowej zwraca się w ostatecznych swoich konsekwencjach także przeciwko nam.

Jasne, że każdy rząd w Polsce, o ile nie składałby się z wariatów czy zbrodniarzy, dążyłby do utrzymania sojuszu polsko - radzieckiego. Chodzi nam jednak o to, by polityka nasza wobec Sowietów nie było kontynuacją polityki ks. Druciekiego - Lubeckiego czy margrabiego Wielopolskiego, polityki ugody i rezygnacji, ale żeby stała się polityką rzeczową, twórczej współpracy dwu narodów słowiańskich.

Zapewnić zaś to może tylko rząd prawdziwie demokratyczny, reprezentujący interesy warstw pracujących naszego społeczeństwa. Oto jedna z przesłanek, które musi wziąć pod uwagę każdy Polak decydując się na kogo ma oddać głos w dniu 19 stycznia 1947 roku. Wybory te będą bowiem egzaminem naszej politycznej dojrzałości.

Adam Polańczyk

trzymaliśmy się z Zosią za ręce i rzucała się całować z nią, a potem miała jej jakiś sekret do powiedzenia i odchodziły zostawiając mnie na drodze. Poza tym organista nie znośił mnie, musiałem omijać ich dom i kryć się w łopianach pod płotami. Moje szczęście w każdej chwili mogło się obrócić w awanturę, rozpacz i upokorzenie. Te sprzeczne uczucia młotające moim sercem doprowadziły mnie do potępienia współczesnego życia. Czemuż urodziłem się w czasach, gdy człowiek nie tylko nie może być pewny swoich własnych uczuć, ale musi się ciągle bać drugich? Dlaczego nie żyję w epoce, kiedy to wzruszenia ludzkie snuły się harmonijnie i spokojnie, a naturalna ich prostota chroniła od konfliktów i zadrasnień?

Mam charakter dobry i łagodny. Postanowiłem nie kochać się więcej. Niech szaleje ten cały nowoczesny świat. Rozterka uczuć sprawa mojej czystej naturze zbyt wiele cierpień.

ROZDZIAŁ III.

Jeździłem z ojcem do miasta na wozie z burakami i kartoflami. Było tuż przed zimą. Ręce grabiały na wietrze i z nosa kapło. Lubiłem jednak monotony chybota wozu i gruchot bulw na wybojach.

Zsuwałem się z wozu ledwo aby potrzywać leżąc, a i to męczył mnie widok miasta, tylu ludzi. Każdy z nich chciałby nam sięgnąć z wozu choć parę kartofli, niektórzy się sami prosili. Pewno, na bruku im się nie urodzi.

Wracałem ukolysany i utylany w wytłokach, budząc się od czasu do czasu z przestachem. Ojciec śmiał się, że mieszcuch ze mnie nie będzie. I z dumą mogę to dziś potwierdzić. Nie będzie. Moje późniejsze kontakty z miastem zawsze kończyły się źle. Raz ukradli mi czapkę, kiedy indziej o mało mnie taksówka nie przejechała, a jeszcze zapłaciłem karę. A co mnie natracali i naszturchali — będę czuł do końca życia.

Miałem i ja czas, że mnie ciągnęło — i do sklepów bogatych i do widoku umalowanych panienek, ale prędko zrozumiałem, że wszystko to pozory. Ruch, gwałt, przepis i zakaz na każdym kroku — to tylko sposoby, aby nas, prostych i uczciwych ludzi ze wsi otumanić i wyzyskać. W naszym sklepie i tak dostanę bibułkę i machorkę.

Szkoda tylko tych ludzi, co zostali porządni. Jeśli spostrzegą oni pewnego dnia, ile stracił moralnych i materialnych kosztów ich miasto, jak ich zaraża nerwowym pośpiechem i ścina w tępy mechanizm — powrócą na wieś. Tu jest ojczyzna prostoty i uczciwości.

ROZDZIAŁ IV.

Ojcowie przed wojną biedowali. Matka wolała jajka ponieść do miasta, a mleko letnikom, niż dać dzieciom i mężowi. Za Niemców więcej tego jedzenia zostawało w domu — i przy okazji widzieliśmy i miszkę jajecznicę pięknie posypaną trybulką i ze skwarkami. Matka jest dobra gospodyni, żeby tylko miała z czego. Robi także dobre pierogi z kaszą i z miętem. Mieszcuchy to się krzywią na to, że mięte gęsi jedzą, a nie ludzie. Ale dobrze przyprawić, dobrze okraszyć, to jest dworskie jedzenie. Rzadko, ale przyrządza też matka kielbasy, jakich nie dadzą w żadnej masarni. Dla nas to święto — kielbasa matczyna w szarym sosie. Na codzień i kartofle muszą wystarczyć i chleb czarny. Ale kiedy tak matula krząta się przy kuchni w parze i zapachy już idą, a my z ojcem bez butów siedzimy — dziwne, że są ludzie, co uganiają się po cudzych domach i lokalach i zamykają drzwi od kuchni i wietrzą pokój. Ludzie od dawna stracili poczucie sensu życia. Zabiegani za interesami nie widzą prostych źródeł dobrobytu, żądając zbyt wiele — nie otrzymują nawet zadowolenia. Nie mówię ja, że na wsi jest dobrze. Nie bardzo się naje nieprzywykły z naszej miszki. Ale my przechowujemy formy rodzinnego współżycia, które pozwalają przeżyć nam takie chwile, jak te w oczekiwaniu na kolację.

Już głowa ojca wtapia się w cień. Posypuje pod wąsem. Namachał się cepami. Ciągłe w uszach wybija: cup-bum-da, cup-bum-da! Historia od wieków słucha tej muzyki. Tak, tak, tak. To znów zegar. Brzękają łyżki. Bulgoce woda w kociołku. Wszystko potakuje, wszystko potwierdza, wszystko ustala.

Ile próżnych myśli zużywa uczony, aby powiedzieć zwykłe: tak. Chłop z siebie wysnuwa tę samą mądrość, z kociołka z kartoflami, z zegara, z chrobotu rzeczy: tak.

ROZDZIAŁ V.

Przewalila się wojna. A tu tego spokojnie, cośmy czekali, nie widać. Jedno tylko

zamieszanie na świecie. Najgorzej, że jeden drugiego chce uszczęśliwić. Naród wtrąca się do narodu, robotnik do chłopu, a i chłop chłopu zagląda w garnek. Wziąłby się każdy do własnej gospodarki, do własnego życia. Jakim prawem ciska się do mnie, a to, że zacofany, bo plugiem orzę zamiast traktorem, a to, że głupi, bo nie tylko o ziemi, ale i o duszy myślę. Idźcie wy z waszym zbawieniem! Zbawiali nas księża i panowie — walczyliśmy z nimi. Wy nas chcecie zbawić — walczyliśmy z wami. Cały ten świat razem z waszymi fałszywymi uniwersytetami, w których filozofowie żalą się na bezsilność własnego mózgu, z miastami, które są jak strzępy żywych nerwów — ginie. Gdy zamkniecie radia wyjące wieczorem swoje wieści bynajmniej nie pokojowe — usłyszycie, jak skrzypi ten gmach. Podnieśliście go za wysoko w stosunku do kruchej podstawy. Biada!

Poeci przedwojenni, katastrofiści mieli rację patrząc na was z litością i oburzeniem, jak wysypywaliście się w nocy, z kin i barów.

Śpi teraz sobie taki poeta pod darnią. Uczeń gimnazjalny przynosi mu w Zadzuski gałązkę świerku za pięć złotych.

Chłopczyku, do nas! Myśmy mądrzejsi od tamtego pisarza, bo znaleźliśmy wyjście, którego on nie przeczuł. W nas jest zbawienie, w nieskażonym cywilizacją chłopie polskim.

Przypomnij sobie jasełka — tyle person barwnych ciśnie się i tłoczy w dumnych lub zbyt pokornych gestach. A tam wśród zakurzonych liści palm i rododendronów ściąganych zewsząd z plebanii i od aptekarzy postawili spokojnie chłopu. Niech przejdzie farbowana zgraja.

On zdąży, betlejemski patriota.

ROZDZIAŁ VI.

Ziemia jest ciepła, wielka, dobra. Oddycha po żniwach wzdymając tchem obłoki. Ptak przemknął. Ludzie wynaleźli działy i granice. O te sztuczne linie, niby południki na globusie toczą się wojny i spory.

Dziadek harował całe życie, aby przesuwać naszą międkę tu, gdzie stoją dwie wierzby. Co mi tam działy!

Tu się położę. Dziecko nie jest szczęśliwsze na ręku matki, ani chłopak na piersi kobiety. Zdrzemnę się, nikt mi i tak nad głową nie stoi, a robota nie zaję. Śpię w szumie, odgięty jaskier kołysze się nad czołem.

Tam w miastach rosną piętra, chłapie wapno, ludzie biegną do biur i redakcji, staruszka wpada pod auto, szumi więc polityczny, sypie się szkło.

Chrrrr... chrrrr...

ROZDZIAŁ VII.

Ożeniłem się z panną, która miała nieść szczęście przez parę lat służyć we dworze. Zasmakowała w cywilizacji technicznej i teraz gwałtem chciała reformować nasz dom. A tego się odrzuca nie robi. Nie mam przeciwko elektryczności, kanalizacji, odkurzaczom. Ale przy nich i człowiek zamienia się na maszynę, automat. Mańka ledwo liźnęła tej cywilizacji, a już uległa jej zepsuciu. Naciśniesz, a tu sypia się żale, że za ciemnego chłopu poszła, że w Niemczech świnie lepiej mieszkają, jak u nas ludzie.

Nie mam na nowe kołki w płocie, na podmurówkę chlewa, a będę dom przerabiał, żeby mi żona z wanny nie wychodziła! Patrzę na stare baby, co i wrzeciono umieją kręcić i nie narzekają, że we mróz za stoł dołę trzeba chodzić. Wszystko pokolei przyjdzie, a do bezdusznosci ulepszeń i marszyn nie ma się co śpieszyć. Przyjdzie i zło za nimi. Krok za krokiem oddalamy się od natury. A tego, co staje na drodze i woła — nie tędy! — strącając jak głupca. Potem dopiero, kiedy będzie zapóźno, obejrzę się za czasami, w których siało się ręką i zbierało ręką, i człowiek liczył się za coś — wolny.

Człowiek w niewoli człowieka, to źle, ale człowiek w niewoli maszyny, to straszne.

Takie myśli ogarniają mnie, gdy mi żona rozpowiada o maszynach do chłodzenia, podgrzewania, pieczenia i krajania.

— A maszyny do myślenia jeszcze nie wynaleźli?

— Była, a jakże, u pana maszyna do liczenia, maszyna do pisanja...

A że były to nasze pierwsze dni, zapamiętałem:

— Ale maszyny do kochania pewno jeszcze nie było?

— A bo ja wiem?

Chcecie odwracać naturę. Ale ona się zemści.

ROZDZIAŁ VIII.

Nasz ksiądz pleban nosi na sobie nie mało materii, ledwo się w konfesjonał wciska. Ksiądz wikary ma więcej ducha, niż ciała. Mówisz plebanowi o niebieskim sakramencie, on ci o ziemskim pieniądzu. Mówisz wikaremu o ciebie, on ci o duchu. Z żadnym się nie dogadasz. Nawet religia nie potrafi ci pogodzić ciała i ducha. Co mówić o nauce! Tam ciało gorszy, tu duch śmiesz.

A przecież sądzić, że ducha nie ma, to tak jakby pomyśleć człowieka bez cienia. Ile ich było, systemów filozoficznych, wszystkie próbowały różnych zwikzków duszy i ciała. A tyle z tego wyszło, co strażakowi w pożarze, gdy ogień zaleje wodą.

Ale zaglądał się w siebie, gdy już wszystko śpi, a żołądek trawi spokojnie. — Od ciebie, chłopie, filozofie czekają na ostatni, prawdziwy system. Nie podasz go w żadnej formule. Młaskać językiem i Sokrates umiał. Ale wstaniesz nazajutrz większy od wszystkich Sokratesów. Patrzyć, a tu ci żaden dym od miasta nie zasnuwa nieba. Rosa się błyszczy, błyszczy aż do horyzontu. Cmokniesz na konia.

Jak cicho. Czy można wiedzieć ciszę, spokój? Czuć trzeba.

ROZDZIAŁ IX.

Wiele złego doznała klasa chłopka od szlachty. Wzięty dworu zaciśnięte koło wsi rozluźniały się powoli, a teraz wreszcie opadły. Sprawiedliwie. Świętochowski dobitnie opisał nasze krzywdy w „Historii chłopów polskich”.

Nie mówiąc już o pamiętce razów i upokorzeń, jakie wyniósł chłop z swej historii — wielka własność ziemską krzywdziła ekonomicznie wieś — przeludnioną, głodną, bezdomną.

Dlatego myślę, nie powinien mi obciążać sumienia ten wasąg, wyprowadzony z wzornictwa dworskiej.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi. Otwieram. Stoi nasz dziedzic grzeczny, zmierzowany. Mam wóz, może odwiezie rzeczy ze dworu na plebanie. Ojca nie ma. Ojciec zakazał. Siada nasz dziedzic i przypomina te kawki, cośmy im razem bzy ukreć. Jesienny dzień. Prędko zmierzch zapada. Już i jechać ani rusz. A nam się coraz rzewniej gada. — Pamiętam te kawki i raki pamiętam i jak mi panicz złotego wsunął. Tak pochyleni ku sobie płacemy razem.

— Zgoda! — płacze dziedzic.

— Zgoda! — ja płaczę.

I kiedy tak godaliśmy się z wrogiem, bo już nie wrogiem, zerwałem się. Wśród nas samych chłopów — ile jest doktryn i ideologii, ile ciągania w sprzeczne kierunki! A chłop i robotnik — czy nie patrzą na siebie krzywo, bo chłopu drogo się widzi chustka dla żony, a robotnikowi — jajko? Kto tu rozezna słusność?

Dziedzic poszedł. Aż mnie żona pchnęła na łóżko i zaczęła ściągać buty, bo rwałem się powtarzać: Zgoda! Zgoda! Zgoda! — Poduszka była mokra od łez.

ROZDZIAŁ X.

Wiem aż nadto dobrze, jakie ataki i zarzuty spotykają moje wyznania. Jestem ich pewien i nie przekonają mnie żadne wywody, ani osłabiają oszczędność. Mam ja własne i jedynie prawdziwe pojęcie demokracji, kultury, ideologii ludowej, które ślinia sobie w ustach moi przeciwnicy. Pomieściły się języki. Dziesięciu ludzi krzyczy — demokracja, a wychodzi z tego zgiełk, że i słowa nie można pojąć. Etymologowie mają zawsze rację, ale ich racja jest stara, nieaktualna. Wtedy, gdy tworzyły się słowa i słońce nie było tym słońcem, co dzisiaj, bo ile mu światła ubyło! A że tyle jest pojęć, ile interesów własnych i grupowych — więc każdy niech weźmie je na swoje sumienie i uczciwie siebie zapyta: co to jest demokracja? co to jest ideologia ludowa? Razi kogo mieszanie moralności do pojęć? A to właśnie główny błąd dzisiejszego cywilizowanego świata. Razi ich moralność, bo musieliby potępić wszystko, co stworzyli i siebie samych.

— Zielone — mówią jedni.

— Jakto? To jest czerwone.

I dlatego albo wszystkim założyć jednokolorowe okulary, a wtedy wszyscy padną sobie w objęcia, albo podrzeć sztandary i także się uściskać.

Najwny! Lecz oni zamiast serc mają maszyny do kochania.

Mańka! Ty miałaś rację. Wynaleźli także maszyny do kochania. Lecz maszyna do kochania ojczyzny jest ze wszystkich najgroźniejsza. Wygląda jak karabin.

Wybiegam na pole. Wiatr mnie owiewa. Wios moich wierzb jest jedynym sztandarem. Chleb mi rośnie dla wszystkich ludzi — na zgodę! na zgodę! na zgodę!

Sprawiedliwy Boże! Nawet jeśli oni mają słusność — ja mam serce.

Piotr Chmura

POSŁOWIE NA SEJM

1. PARLAMENT R. P. 1919—1927

Zbliżają się pierwsze wybory w nowej Polsce. Drogi Czytelniku, zastanówmy się wspólnie raz jeszcze nad naszą decyzją. Od czego zaczniemy? Proponuję — weźmy za punkt wyjścia słynne powiedzenie Witosa „Polska upadła jako państwo szlacheckie, Polska powstaje teraz jako państwo ludowe”. Myślisz pewnie, że Wincenty Witos powiedział to w 1915 r.? Nie, powiedział to już w 1919, na progu Polski lat międzywojennych. Już wówczas chciał, już wówczas zdawało mu się...

A jaką była rzeczywistość społeczna? Jakże te pierwsze lata parlamentu w odrodzonej Polsce? Kimże ci posłowie?

Drogi Czytelniku, pochyl się wraz ze mną nad książką, która nosi tytuł: „Parlament Rzplitej Polskiej 1919 — 1927”. Niech mówi do nas historia. Nie udała się wówczas rewolucja. Rzeczy szły więc w dalszym ciągu, jak w okresie Rady Regencyjnej, kiedy trzema regentami byli: arcybiskup Kakowski, książę Lubomirski i obywatel ziemski Ostrowski. Szły więc tak, że otwierał sejm książę Radziwiłł, marszałkował obywatel ziemski Wojciech Trampeński, w sejmie widziałeś mityr książęce i biskupie. Na pierwszego prezydenta kandydatem był hrabia Zamojski. W pierwszym głosowaniu uzyskuje olbrzymią większość — konkurentem jest G. Narutowicz, ten, którego — wiesz zamordowano, kiedy został prezydentem.

Widzę, Drogi Czytelniku, że się niecierpliwisz. Chcesz powiedzieć: no, dobrze, ale przecież byli chłopci — posłowie i było ich dużo. I dali to sobie w kaszę dmuchać?

— A który klub chłopów najbardziej Cię interesuje? — Oczywiście, ten który ma najstarszą tradycję w ruchu ludowym P.S.L. „Piast”.

2. SZLACHTA I MIESZCZANIE W „PIAST”

No to czytamy życiorysy posłów „Piasta”. Jest ich 58. Wiesz o tym, że w 1919 r. „Wyzwolenie” połączyło się z „Piastem”.



Jan Dąb - Kociol
wojewoda łódzki

wzbogacając klub o kilkudziesięciu posłów. Ale już w 1920 r. wystąpiło 24 posłów z „Piasta” za jego konszachty z obszarnikami i prawicą, prowadzone w myśl również sławnej zasady: „Bez porozumienia z Narodową Demokracją nie może być trwałego rządu, zwłaszcza, że duchowieństwo będzie się do niego wrogo odnosić”. Z latami, jak pamiętasz, urodził się z N. D. obóz Wielkiej Polski, z niego O.N.R., a z tego N.S.Z. W 1923 r. po słynnym pakcie lanckorońskim „Piast” z prawicą odeszło 17 posłów z Wyślouchem na czele. I wciąż odchodzili potem inni. Tych tutaj 58 życiorysów to historyczny trzon „Piasta”.

Jak myślisz — ilu w tym klubie, gdzie przewodniczył chłop rolnik, W. Witos, mogło być inteligentów?



Jan Kulka
Prezes Łódzkiego Zarządu Woj. Związku
Samopomocy Chłopskiej

— No, może dziesięciu...

— Nie, Drogi Czytelniku, było ich na ogólną liczbę 58 — 42.

— Rzeczywiście, nie przypuszczałem. Ale to i lepiej. Mądry był klub. Wykształceni chłopcy synowie wiedzieli jak bronić sprawy ludowej.

— I w tym się mylisz. Tych chłopskiego pochodzenia było tylko 7 miu, najsłynniejszy z nich to M. Rataj i Gruszka B., reszta nie odegrała większej roli.

— A jakiegoż pochodzenia byli ci pozostali inteligenci?

— Ci pozostali to wiekszość — 35 na 7. 17 z nich jest ziemiańskiego pochodzenia. Reszta mieszczniańskiego. Pochodzą przeważnie z małych miasteczek. To ma swoją wymowę. Przypomina „Wesele” Wyspiańskiego. Bogaci chłopcy goszczą u siebie panie radczynie. Takie byto pierwsze jednoczenie się wsi z miastem na przełomie XIX i XX w. Ci mieszczańscy z Brzeżan, Mielca, Trembowli, Sambora, Ciechanowa, Bochni i innych miast wychodzą na adwokatów, lekarzy, aptekarzy, burmistrzów, przemysłowców. Zaczynają praktykę zawodową w rodzinnych miasteczkach. Któż jest ich najbardziej rentownym klientem? Bogaci chłopcy. Interes zawodowy z nim zadzierga nie kontaktu społecznego. Bogaci chłopcy szanują panów mecenasów, a panowie mecenasi takim jeszcze chłopom gotowi są przewodzić. I dlatego ten i ów „sporo czasu poświęcił organizowaniu włościaństwa przy PSL”.

— A Kiernik?

— Z Bochni, Drogi Czytelniku.

— No, a ci szlachcice w „Piastach”?

— Ci szlachcice — połowa z nich była rodem z Kresów Wschodnich. Większość to — „wysadzeni z siódła”. Inżynierowie rolnicy, nauczyciele gimnazjalni, adwokaci, komisarze ziemscy. Każdy z nich, jak podaje, wychował się w „atmosferze wzniosłego patriotyzmu i religijności”. W tym punkcie występuje powszechna zgodność u wszystkich posłów „Piasta” — ziemian, mieszczań i chłopów. Tylko ci ostatni nie odebrali „staranego” wychowania patriotycznego — religijnego. To też patriotyzmu uczą tamci — inteligenci. Nie tylko nauczyciele — humaniści, ale i inżynierowie wymieniają jako najcenniejsze wyposażenie swego światopoglądu pojęcie romantyczne: Słowacki, Malczewski, Wyspiański... „Utwory Kasprowicza, Sienkiewicza stały się jego ulubioną lekturą”. Chłopi byli pojętni. „Taki Janeczka, chłop — poseł” po ukazaniu się jubileuszowego wydania pism Sienkiewicza nabył je i czytywał włościanom podczas jesiennych i zimowych wieczorów, nieraz nocami, budząc wśród włościan ducha patriotycznego i miłość ojczyzny. I miała upaść Polska szlachecka? Janeczka pochodził z gospodarstwa 30 morgowego. Był członkiem sejmiku powiatowego i komitetu odbudowy kościoła. Widzę, że posmutniałeś, Czytelniku. To była taka tradycja. Nie wiesz, że w tej tradycji, jeszcze przed odzyskaniem niepodległości, chodziło się do namiestników Galicji, hrabiów Bilińskich i Badenich o finansową pomoc, że się potrzebowało hr. Mieroszewskich i Reyów. — To Stapiński — powiesz, Czytelniku. Tak, Witos znów protegował hr. Lasockiego, bankierów Długosza, Hamerlinga. A zapomniawszy, kto chodził po rozłamanie ze Stapińskim do biskupa Walegi? Przecież nie sam Bojko. Otóż ci szlachcice w „Piastach” za czasów pierwszego parlamentu Polski Odrodzonej „poza pracę zawodową wyjeżdżali niemal co niedzielę na wieś”. Poza pracę zawodową. Ale wówczas inny był styl i dlatego taki pan poseł pisał w życiorysie, że „W życiu prywatnym poświęca się przemysłowi i ostatnio zajmuje stanowisko dyrektora jednej z największych fabryk warszawskich”.

W życiu prywatnym poświęca się przemysłowi...

3. CHŁOPI W „PIASTACH”

— A jaką rolę pełnili posłowie chłopci w „Piastach”?

— O tych 15 chłopów pytasz, Drogi Czytelniku? Robili swoje. Jeden był dumny, że jego ojciec występował w 1846 r. przeciwko Szeli i na ten i inne tematy miewał „naukowe pogawędki”. Inny na 60 morgach „odda-

wał się pracy społecznej”. Inny przemawiał na sejmie w sprawie uprawy tytoniu przez włościan i „potępienia plagi myszy w Małopolsce”. Inny był prezesem Związku Oficjalistów „i nie zaniedbywał też działalności oświatowej”. Krótko mówiąc, oni tu — kibicują. Brak im wykształcenia wyższego, to prawda. Ale rozstrzygające jest to, komu musieli zaufać. Kto był plenipotentem ich i wsi sprawy? Na to, Drogi Czytelniku, masz odpowiedź w tych 35 ziemianach i mieszczań-

nach — reprezentujących PSL w takiej sytuacji ogólnie - polskiej, kiedy przemysł i majątki ziemskie były w przywrotnych rękach, kiedy restauracja Polski szlacheckiej była ideałem Narodowej Demokracji, mieszczaństwa, kleru i chłopów słuchających panów-adwokatów wewnątrz swojego stronnictwa. Matki tych panów w „Piastach” noszą imiona Karoliny, Teofili, Salomei, Joanny, Michaliny, Teresy... i t. d. Cóż ci panowie — wówczas — mogli i chcieli radzić? Kompromis i pakt z prawicą.

— A nie było to dla łączy chłopskich w terenie?

— Owszem byli; tych 15 posłów — chłopów należałoby zaliczyć właśnie do tamtej grupy terenowych, lokalnych działaczy. I przeglądając tę pełniejszą listę można zrozumieć dlaczego w sejmie, gdzie powinny były się ze sobą złączyć interesy chłopskie z ziemiańskimi i kapitalistycznymi, chłopów reprezentowali inteligenci, którzy przez pochodzenie, wychowanie i zawód byli na służbie u sił ziemiańsko-kapitalistycznych. Kimże są ci działacze chłopskie w terenie? Nie będę wymieniał nazwisk. Do dziś żyją w pamięci anegdota i epitety, które przylgnęły do każdego z nich i po nich, jeżeli Ci na tym zależy, poznasz osoby. Sławni są z tego, że „z pocztów chłopskich”, „głowe i serce noszą w brzuchu”, lubią patrzeć tam „gdzie się z kominą kurzy”, „różnie się obzierają”, „nie głupi chłop tylko mu tego udowodnić nie można”, robią chłopom „włóczęgę w głowie”, stawiają „diabłu świeczkę i Panu Bogu ogarek”, „spukują się” w agitacji, choć ta zaczyna się najczęściej od wycelowania wszystkich i wprośnienia w kumy, ale i kończy się zazwyczaj wyśpiewaniem melodii o historycznej dziurze w moście.

Cóż te epitety mówią? Że i ci chłopcy nie byli reprezentantami interesów całej warszawy chłopskiej i nie prowadzili jej do historycznej, nieodwrotnej walki. Pod tymi epitetami wyraża się rzeczywista droga różnych Płaków i Dobijów, którzy dobili się majątku, różnych Krezelów i Rączkowskich, którzy dwory kupili i „obywatelami ziemskimi” zostali, różnych wreszcie Bryłów i Gagatów, którzy wybrzyłowali po 7 kamienic i folwarki i wygagatkowali się dosłownie na jednych z najbogatszych ludzi w Polsce.

4. NASZE WYBORY

Drogi Czytelniku! A teraz pomyśl o naszych wyborach. Pomyśl o tym, że my dziś wybieramy posłów nie jak przed 30 laty po to, aby oni dopiero tam, w sejmie, starli się z sobą i żeby walczyli z Polską Ludową. Dziś stało się inaczej. Najpierw obaliliśmy Polskę szlachecką i Polskę kapitalistyczną i w pierwszych wyborach do sejmiku chcemy zapewnić trwałe istnienie i rozwój już powstałej Polsce Ludowej.

Wiesz dobrze, Czytelniku, że najwyżsi dostojnicy Rządu Tymczasowego to bardzo dziwni inteligenci. Z robotników i chłopów. I nie z pochodzenia tylko, ale z wyrastania i działania wśród nich i z nimi. Wiesz dobrze, że to są ci, którzy przeprowadzili wielkie reformy. A reformy stworzyły rewolucyjnie — stan faktów dokonanych, który postawi sejm w obliczu Polski Ludowej — a nie obszarniczo-kapitalistycznej. Ty wiesz, że siły ludowe musiały się ubezpieczyć faktami, a nie obietnicami i porozumieniami. Tam, gdzieśmy jeszcze i dzisiaj stawiali na obietnicę i dobrą wiarę, tam się powtórzyło „Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek”, tam się „różnie obzierają” a najczęściej tam „gdzie się z kominą kurzy”, z kominą wielkich fabryk angielskich dla których tworzenie Polski w roli półdzikiej kolonii oznacza zabezpieczenie źródła wyzysku dla wielko-kapitalistycznego mocarstwa.

Drogi Przyjacielu, widzę że porzucasz broszurę Antoniego Korzyckiego. Tak, warto sobie zdać sprawę z różnicy epok. Przed wieloletni Witos na sejmie Galicyjskim przemawiał do panów kolegów: „nie róbcie z te-

go serdecznego ludu armii niezadowolonych”. Ci panowie to była instancja wówczas najwyższa i ostatnia, wobec której dopraszać się można było poprawy losu wsi. Sprawa narodu i jego roli w Europie leżała jeszcze całkowicie w sferze dyspozycji panów i ich zagranicznych powiazań. A dziś młody sekretarz Stronnictwa Ludowego, Korzycki rabie prawdę w oczy instancjom, które na tym świecie do ostatnich czasów uchodziły za bardziej boskie — w opinii przeciętnego obywatela — niż sam Pan Bóg. „Angielscy przyjaciele Niemiec rachują na to, że zwycięstwo reakcji w Polsce otworzy im drogę do odbudowy Niemiec, przywróci Niemcom Śląsk — kuźnię wojenną i porty na Bałtyku. Chcieliby z Polski uczynić powolne narzędzie w swych rękach dla przygotowania wojny z Sowietami”. Korzycki rabie prawdę w oczy tej części ruchu ludowego, która robi chłopom wiatr w głowie: „Przywódcy P.S.L. razem z reakcją z utęsknieniem oczekują interwencji angielskiej w Polsce”. Drogi Czytelniku, zdaj sobie sprawę, jak Stronnictwo Ludowe dojrzałe dziś jest do odpowiedzialności za naród polski; widzi, że mechanizm niewolenia klas pracujących, że mechanizm niewolenia zapóźnionych w rozwoju cywilizacyjnym narodów leży ostatecznie w rękach mocarstw kapitalistycznych. Dlatego jego obrona wsi, obrona narodu jest najbardziej światła i skuteczną.

Patrz, Drogi Czytelniku, mam tu na biurku życiorysy kandydatów na posłów-chłopów z woj. łódzkiego. Od 3 morgów do 7 ha. A są i robotnicy rolni. Cztery cechy powtarzają się tu stale. Pierwsza: każdy z nich miał w swym życiorysie okres miejski. Pracowali na torach kolejowych, w kopalniach francuskich, w fabrykach tkackich w Łodzi, w ślusarskich zakładach przemysłowych w Warszawie i t. d. Druga: kształcą się etapami, po szkole powszechnej, po 5 klasach gimn., po niższej szkole roln., pracując zawodowo, organizując spółdzielnię, „Wici”, strajki rolnie, czy w czasach wolnych od siedzenia w więzieniu, nie ustają równocześnie powiększać swego wykształcenia. I sięgają WSGW, gimnazjum, kursów handlowych, Instytutów Pedagogicznych.

Trzecia: prawie wszyscy byli wicarzami, prezesami powiatowymi i wojewódzkimi,



Piotr Szymanek
wiceprezes łódzkiego Woj. Zarządu S. L.

wnosili oni w „Wici” swoje doświadczenie z fabryk i swój pęd do gospodarczego rozwoju wsi. Nawet najmłodszy z nich już po wojnie powołany został na prezesa Woj. Zarządu „Wici” w zastaniu jego osiągnięć w pow. Zarządzie Z.S.Ch.

Czwarta: są to ludzie, którzy ciągną tradycję, jak najstarsi — od „Zarania” jeszcze, od udziału w komitecie rewolucyjnym w Hanowerze po pierwszej wojnie światowej, jak młodszy — od strajków rolnych, od manifestacji chłopsko-robotniczych, od walki z najeźdźcą podczas okupacji, walki o Polskę nie londyńską.

Obecny wojewoda łódzki — kandydat na posła, jest również ich kolegą, chłopem, który wyszedł z 3 morgów.



Władysław Chlebny
członek Prezydium łódzkiego Woj. Zarz.
Z. Mł. W. „Wici”

Jan Aleksander Król

M I Ł K O W S Z C Z Y Z N A *)

Część II.

Jako punkt wyjścia przyjmuje Miłkowski daną w doświadczeniu współczesną rzeczywistość wiejską. Określa ją w oparciu o trzy założenia, które dadzą się tak sformułować:

1) Element grupy wyznacza system społeczno - gospodarczy całej grupy. Charakterystyka elementu według metody pars pro toto daje obraz „istoty” grupy.

2) „Nowy ustrój” należy budować przy niezmienionej funkcji elementu rzeczywistości wiejskiej, co więcej, należy właśnie oprzeć go na tej tradycyjnej funkcji.

3) Cechy bowiem elementu, powstałego w pewnym okresie historycznym można uznać za stałe dla warstwy chłopskiej.

Dla socjologa i metodologa wszystkie trzy założenia są nie do przyjęcia.

Założenie pierwsze

Co stanowi wiejską rzeczywistość społeczną? — Warstwa chłopska, zespół instytucji wiejskich, gromada? Miłkowski odpowiada: rodzina — „najniższa komórka gospodarza”. To określenie ma podwójną wymowę. Po pierwsze, zakłada, że wszelka inna rzeczywistość społeczna jest bądź „pochodna”, bądź „składa się” z tych elementów. Po drugie, sugeruje, że bez istnienia tych komórek nie ma rzeczywistości wiejskiej. Nie one są więc wytworem grupy, ale odwrotnie, one tę grupę społeczną stwarzają i wyznaczają.

Miłkowski nie wziął pod uwagę historii. Przecież istnienie samodzielnych gospodarstw chłopskich datuje się dopiero od czasów zniesienia pańszczyzny. Gdyby zniesienie nie nastąpiło, nie byłoby samodzielnych gospodarstw. Powstały one zatem, jako rezultat zmian społecznych stosunków produkcji w całej warstwie chłopskiej. Uwolnienie chłopów spod społecznej i ekonomicznej zależności dworów wyraziło się w nowej funkcji rodziny: **gospodarczo niezależnej jednostki**. Razem bowiem z odrzuceniem poddaństwa w formie „służby na pańskim” odrzucona została, jako system organizacji tej służby, **szersza więź społeczna**, jaka istniała już na wsi, za dzierżgnięta we wspólnej, zbiorowej pracy na folwarkach. I to, co niknie na naszych oczach w formach t.zw. naturalnej samopomocy (pomoc pogorzelcom, nowożeńcom, sąsiadom w obróbkę pola) utrzymywało się długo jeszcze właśnie z tamtej tradycji. Gdyby upadek pańszczyzny był dziełem świadomej rewolucji chłopskiej, wolno sądzić, że organizacja uspołecznionej pracy nie zostałaby tak straszliwie zmarnowana, jak to się właśnie stało.

Założenie drugie

„Jeżeli za podstawę naszych rozważań weźmiemy pod uwagę samodzielne gospodarstwo chłopskie, to w tej najniższej komórce gospodarczej możemy się dopatrzeć wielu zasadniczych elementów przyszłego ustroju społeczno - gospodarczego z punktu widzenia wsi”.

Błąd rodzi nowy błąd. Jak można budować nowy w założeniu ustrój przy niezmienionej funkcji elementu społecznego, jakim jest samodzielne gospodarstwo chłopskie? To tak jakby Miłkowski namawiał pańszczyźnianych chłopów aby nie rzekli się zbiorowej pracy. Nie ustaliłyby się wówczas znane nam stosunki drobnej wolno-konkurencyjnej produkcji chłopskiej.

Założenie trzecie.

Miłkowski przeprowadza charakterystykę rodzinnej gospodarki chłopskiej. Przedstawiony wykaz cech winien — według niego — stanowić podstawowy zespół wartości społecznych nowego ustroju. Na jakiej zasadzie? Otóż na tej — Miłkowski nie zdaje sobie sprawy, że wzięta przez niego do analizy organizacja gospodarza i jej cechy społeczne, związane są z pewnym historycznym okresem warstwy chłopskiej.

On je traktuje pozahistorycznie — jako wartości „wieczne”, oddające „istotę”

chłopskości, wyrażające na stałe „punkt widzenia wsi”.

Przyjrzyjmy się bliżej tej charakterystyce. Zmierzają one do przełożenia procesów gospodarczych na język wartości moralnych.

1) Powołany na świadka I. Solarz utrzymuje, że rodzina chłopska „patrzy na ludzi nie jako źródło i przedmiot wyzysku”, ponieważ „chłopskie gospodarstwo pracuje przeważnie nie na zysk i zysk, ale na własne zaopatrzenie rodziny w żywność”. Może to i prawda, ale dla nas ważniejsze jest potwierdzenie, że ta gospodarka nie stanowi warsztatu produkującego na rynek. Ze jej rynkowy wkład stanowi nikły procent produkcji. A ten fakt umiejscawia ją w historii rozwoju metod i wydajności produkcji na pozycji **przedwczoraszniej**.

W warunkach zacofanej, parcelowej, azjatyckiej gospodarki rolnej dla zaopatrzenia w żywność jednej rodziny, żyjącej w mieście, trzeba pracy pięciu rodzin chłopskich, u nas prawie trzech. W Danii jedna rodzina chłopska zaopatruje dwie w mieście, w Szwajcarii — trzy, w St. Zjednoczonych jedna rodzina farmerska — 4—5 rodzin w mieście.

Na przestrzeni całej charakterystyki będziemy obserwowali, jak tragedię ekonomiczną wsi przesłaniają związane z nią tradycyjne, „światlane”, „piastowskie” wartości moralne i jak dążenie do zachowania tych cech utrwala tragedię ekonomiczną. Jakże przejść na zysk i zysk, kiedy straci się dawną serdeczną „ludzką”?

Na innym miejscu, gdzie już Miłkowski nie ma obowiązku czarować urokami tradycyjnej gospodarki chłopskiej, czytamy aż nadto otreźwiający wyznaczenie:

„Obecny system gospodarki rolnej jest pozostałością z czasów średniowiecza czyli t.zw. system gospodarki naturalnej... Dawniej gospodarstwo chłopskie było prawie całkowicie samowystarczalne, bo nie tylko środki spożycia, ale również inne potrzeby jak ubrania i sprzęty, narzędzia rolnicze były produkowane w obrębie gospodarstwa. Ogólny rozwój gospodarczy i postęp techniczny sprawił, że chłop zaczął ubierać się w materiały, wytwarzane w fabryce, używać narzędzi rolniczych, wykonywanych sposobem fabrycznym itp. Jeżeli jednak chodzi o sam system gospodarzenia, to ten się niewiele zmienił. Produkuje się zazwyczaj wszystko — co jest potrzebne w gospodarstwie domowym”.

2) „Chłopskie gospodarstwo indywidualne wyrabia wiele wyraźniej osobowość człowieka, gdy **musi sam sobie radzić**, zwłaszcza na wsi rozrzuconej” (Solarz cytowany przez M.). „Od jego pracowitości, energii i **pomysłowości** zależy wynik całego gospodarstwa”. (M.)

Solarz przemawia językiem Ewangelii. Osobowość ogląda sub specie aeternitatis, a nie w perspektywie historii, nie na tle warunków produkcji i życia innych środowisk. Sugeruje w ten sposób przekonanie, że gospodarstwo najlepiej sprawdza możliwości inteligencji, uczuć, etyki, czyli t.zw. duchowej strony człowieka. Ale podobnie wojny i choroby sprawdzają nasz patriotyzm, nasz stosunek do rodziny i przyjaciół, z tego jednak nie wynika, aby dla bardziej efektywnych przejawów wartości duchowych aprobować wojny i choroby. A tak rozumują Solarz i Miłkowski w odniesieniu do gospodarstwa. Ważne jest to, że chłop „**sam sobie musi radzić**”, że od „**jego pomysłowości**” zależy wyłącznie wynik całego gospodarstwa. Ta pochwała samowystarczalności technicznej i kulturalnej doprawdy — przeraża!

Jakaż jest pomysłowość chłopów w porównaniu z pomysłowością jego syna, inżyniera - agronoma? Ale ta druga nie przyjmuje założenia: „samemu sobie radzić”. Przeciwnie, jest ona rezultatem zbiorowego i historycznego namysłu i uspołecznionego działania produkcyjnego. I zastosować da się w takiej tylko funkcji, która wymaga od wsi rezygnacji z tradycyjnej, jednostkowej wyłącznie pomysłowości i jednostkowego działania sobie.

3) Tymczasem Miłkowski i Solarz apoteozują ograniczony zasięg więzi społecznej na wsi, ograniczony zasięg społecznych form produkcji. „Moralnie i tradycyjnie na-

leży gospodarstwo do wspólnoty rodzinnej... Prace wykonuje każdy pospół pod naturalnie uznanym ze starszeństwa lub zdolności przewodnictwem kogoś z ojców czy rodzeństwa”. I tu już koniec: wieś wygląda jak głowa słonecznika, rodziny — gospodarstwa niby ziarenka przylegają do siebie szczerbie, ale ich suma nie tworzy przez to pozarodzinny system pracy, pozarodzinno - towarzyskiej i obrzędowej struktury życia społecznego. „Indywidualne gospodarstwo chłopskie wyrabia obok samodzielnosci i zaradności wiele **odpowiedzialności wzajemnej** choć na razie **tylko w rodzinie**”. Otóż to!

4) „Chłop jest równocześnie i właścicielem i robotnikiem — rządzi i wykonuje w jednej osobie, jest najemnikiem u samego siebie, sam zarządza rezultatem swej pracy”. To się Miłkowskiemu i Solarzowi bardzo podoba. Widzą w tym „dziwną tajemnicę łagodzenia przeciwieństw i tarć, jakie niepokoją i wywracają dotychczasowy ustrój społeczno - gospodarczy”. Tajemnica jest łatwa do odcyfrowania. Kryje w sobie typ **gospodarki naturalnej — samowystarczальной**. Zalecana światu jako lek, kojący tarcia i przeciwieństwa współczesnej ekonomii, oznacza ni mniej ni więcej jak powrót do epoki kołowrotków, co również zaleca Gandhi, bardzo po myśli imperialnych interesów W. Brytanii.

Miłkowski za Solarzem konserwuje gospodarstwo w jego popańszczyźnianym wegetowaniu poza rosnącym systemem industrialnych procesów ekonomicznych. Chłop w roli właściciela i robotnika wyraża typ funkcjonowania zamkniętego w sobie warsztatu, odciętego od rynku zbytu i zakupu. „Wynika to z naczelnego postulatu agraryzmu, aby każdy człowiek w przyszłym ustroju społecznym żył z własnej pracy”.

5) Wszystkie cechy zmierzają do uwypuklenia zasadniczej **niezależności chłopów**. Nikomu i niczemu nie podlega. Nikomu niczego nie zawdzięcza. Sobiepan. „Jedną z nieocenionych wartości duchowych, jakie dać może posiadanie własności chłopskiego gospodarstwa jest poczucie i fakt **niezależności osobistej** czy wobec przemocy kapitału czy władzy politycznej”. (S. cyt. przez M.)

Tu docieramy do znaczenia, w jakim agraryzm używa pojęcia „**wolności osobistej**”. Być wolnym to tyle, **co nie wchodzić w wyższe powiązania społeczne**. Ale to wcale nie znaczy, że się jest społecznie niezależnym. I ludził się Solarz sądząc, że samodzielna gospodarka chłopska stanowi ostatnią ostoję wobec przemocy kapitalizmu i władzy politycznej. Po pierwsze — trudno zaprzeczyć, że gospodarstwo chłopskie powstało w wyniku walki społecznej i to walki, toczonyj poza chłopską wsią. Gospodarstwo zrodziło zwycięstwo burżuazyjnej, liberalnej demokracji nad feudalizmem. Musiała być osłabiona agrarna i społeczna pozycja ziemiaństwa. Musiała gospodarka towarowa i pieniężna znaleźć obieg w całym społeczeństwie. Po drugie — kapitalizm a władza polityczna to nie są siły odrębne. Kapitalizm osiąga wpływy polityczne. Gospodarstwo chłopskie obok ghetta lumpenproletariatu jest jego najtraficzniejszym wytworem. Decyduje o istnieniu potężnego rezerwuaru ludzkiego o najmniejszych potrzebach życiowych, wegetującego w najprymitywniejszych warunkach i zastępującego naftą siłą roboczą, kosztą najmniej opłacalnych dla kapitalizmu inwestycji przemysłowych.

Czy Solarz i Miłkowski nie rozumieli, że rozwój oświaty na wsi zmieniłyby społeczną funkcję gospodarstwa chłopskiego? Chciałoby tak, jak w Danii, Szwajcarii czy Szwajcarii? Czy dla Miłkowskiego nie było jasne, że i samodzielność gospodarstwa tzn. posiadanie przez chłopów w niej wyłącznie oparcia społecznego i sztuczne hamowanie rozwoju oświaty na wsi było dziełem sił kapitalistycznych, osiąganym także poprzez politycznych figurantów? Czy dziełem tego samego łupieżcy nie była olbrzymia sieć pośrednictwa handlowego, żerującego na wsi? Nie była inwazja prywatnego przemysłu w zagony chłopskie? Summa summarum: izolowana, rozproszkowana, bezradna, samodzielna gospodarka chłopska stanowi warunek sine qua non, ale nie dla wsi.

6) Solarz dowodzi, że „chłopskie gospo-

darstwo wyrabia wiele wyraźniej osobowość człowieka”. Wyraźniej, niż co? Niż fabryki, niż instytucje kultury, nauki, zdrowia, administracji? Miłkowski to potwierdza. Ale spod jego własnego pióra wyrwają się mimowoli oceny, druzgocące tak mozolnie budowaną fikcję agraryzmu.

Chłop „pracuje nad miarę fizycznie — za mało jednak w swój codzienny trud wkłada wysiłku myślowego”.

Jakże jest więc z tą „pomysłowością”? Jak z „osobowością”? pełniejszą tutaj, niż w zmechanizowanym obecnie mieście?

„Przy dzisiejszym systemie gospodarki rolnej chłop wraz z całą rodziną przyniesiony nadmiarem pracy fizycznej z natury rzeczy nie jest podatny do należytego rozwijania i kształcenia swojego umysłu”.

Co to znaczy — dzisiejszy system gospodarki rolnej? Wyłożył go sam Miłkowski — rzeczywistość wiejska to elementarna, niezawisła, samowystarczalna komórka i jej mechanizm — „chłop, wszystko, co ma, zdobywa swą pracą i pracą swej rodziny”.

Solarz mówi o odpowiedzialności społecznej, która jednak nie przekracza granic rodziny. Miłkowski, gdzieś tam na marginesie, wyznaje: „chłop dotychczas do wielu zagadnień bezpośrednio go obchodzących ustosunkowuje się biernie”.

„Wieś zadawała się jedynie głosowaniem i biciem brawa na wiecach, trwając w biernym oczekiwaniu poprawy swojej doli — zwycięstwa obozu ludowego”.

Oto konsekwencje odspołecznionej gospodarki chłopskiej.

7) Na tle tych niezamierzonych wyznań rozumiemy hasło „powrotu do ziemi, do praw przyrody”. Miłkowski pisze: Chłop, „podpatrując prawa przyrody, w ustawicznym z nią współżyciu wyrabia w sobie poczucie praworządności w życiu gospodarczym i społeczno - obywatelskim. Jest elementem ładu i stałości i jako taki najlepszym fundamentem dla państwa”.

Ale my już wiemy, że to podpatrywanie przyrody nie jest odkrywcze, bo splecione granicami rodzinnej gospodarki i nie tylko daleko mu do wyników naukowych instytucji, ale wręcz separuje się od nich, zakłada samowystarczalność własnej obserwacji, w którą wkłada „za mało jednak wysiłku myślowego”. Rozumiemy, że występuje tu ten rodzaj współżycia z przyrodą, który przynosi nadmiar pracy fizycznej, stwarza bierność umysłową i społeczną — „Trwanie w biernym oczekiwaniu poprawy doli”. I taką praworządność podaje Miłkowski za fundament nowego ustroju? Taki ład i stałość są najlepsze dla państwa? Dla jakiego — pytamy — czy nie dla kapitalistycznego i to z drugiej albo trzeciej ręki?

8) Rozumiemy również mistyczną mgiełką owiane „przywiązanie do własnego zagonu”, jako symbolu ziemi. Nikt nie przeczy, że środowisko i warsztat pracy wywołują trwałe związki uczuciowe. Ale te prawa z równym powodzeniem odnoszą się i do innych zawodów i innego poza wie-

JAN ALEKSANDER KRÓL

DROGOWSKAZY
NA MANOWCACH
KULTURY LUDOWEJ

str. 282.

PAŃSTWOWY INSTYTUT
W Y D A W N I C Z Y
WARSZAWA

*) Dokończenie pracy drukowanej w nrze 1 (80) „Wiś”, stanowiącej fragment książki „Drogowskazy na manowcach kultury ludowej”, wydanej w tych dniach nakładem Państw. Instytutu Wydawniczego.

Zygmunt Jakimiak

OD PASENIA KRÓW DO CHESTERTONA*)

Stary Noe hodował strusie, na górze jego sadyba,
Jadł jaja warząchwą z kieliszka, od kubła większego chyba,
Na zakup gotował słonina, na rybkę brał wieloryba,
Ale wszystko to małe przy loszku, jaki wziął do arki bezszybey.

I Noe mawiał żonie często w obiadku godzinie:
„Nie dbam wcale o wodę, byle nie było jaj w winie”.

Wodospady niebieskich skał spadły naoslep z krawędzi,
Jakby zmyć chciały z nieba gwiazdy w szalonym rozpędzie;
Siedem nieb do piekielnych gardzieli zbiegło pić sycząc jakby
w obłędzie.

A Noe zerknął i rzekł: „coś mi się zdaje — deszcz będzie.
Już woda zakryła Alpy jakby w najgłębszej kotlinie...
Lecz nie dbam wcale o wodę, byle nie było jaj w winie!”.

Lecz Noe zgrzeszył i myśmy zgrzeszyli: i nasza pijana noga
Ściągnęła nam abstynenta za karę i pokutę, przestrożę!...
I nie masz wina w P. M. S., ni w karczmie gościnnych progach,
Bo przyszedł z powrotem kurs wody z powodu gniewu Boga,
Dziś woda jest w szklance biskupa i w niedowiarka tysinie...
Lecz nie dbam wcale o wodę, byle nie było jaj w winie.

Czy wiersz taki nie zachwyci zarówno pastucha jak i profesora anglistyki? Pastuchowi uderzy do głowy jego fantastyczna placka weselość, a profesor zachwyci się formą: sekstyna wykwinniejsza niż u Słowackiego, ale heksametr! — niczym u Wergiliusza, który, nawet bitý przez ojca, lkał:

Parce mi pater, iam numquam carmina dicam!

Wiersz ten, to „Wino i woda” z „Latającej Gospody” G. K. Chestertona w moim naprawdę niedołężnym przekładzie. Skąd chłopu do Chestertona? Skąd było Kasprończowi do Coleridge’a, Byrona, Ibsena? Ba, Ajschylosa? Co wolno kuliawiakowi, to chyba wolno i podłasiakowi. Myślę, że nasi wielcy nie poto byli wielkimi, by nam do wielkości drogę zagrozić, ale raczej po to, by ją nam ukazywać i zachęcać. Czy się uda, to inna rzecz. Ale szczególnie dzisiaj, obowiązkiem chłopu jest być wielkim, bo przychodzi na niego obowiązek nie tylko żywienia, odziewania, i obrońcy całego narodu, ale i kierowania jego losami. Dziś chłop ma być mężem stanu, artystą, politykiem i filozofem, lepszym niż ci, co odeszli, by lepiej, niż oni pokierować Polską.

Ale Chesterton nie był pierwszym, który mnie porwał. Pierwszą książką, jaką przeczytałem, były „Takie sobie bajeczki” (Just so stories), innego Anglika, Kiplinga. Pamiętam ten dzień, jak dziś i będę go chyba pamiętał i w godzinie śmierci. Miałem wtedy lat 6 czy 7, a już umiałem czytać, bo starszy brat musiał mnie nauczyć. Czego, taki berbec nie dokaże, jak się uprze? A co taki fafel rozumiał o wojnie? Cieszył się, że może z żołdatami ruskimi chodzić po sadach i obijać gruszki dziwiąc się tylko, że srogi właściciel — sąsiad nic na to nie mówi — nie parzy pokrzywą. A zaraz po tym podziwiał piket hauby „huzarów śmierci”. Otóż w taki piękny dzień sierpniowy udałem się do „pani” tj. nauczycielki, która miała bibliotekę — nasza wioska — Rzeszotków — była b. postępową, czytała „Zaranie” i miała szkołę. Wybrałem sobie wspomnianą książkę, udałem się na bliską łączkę i czytałem, czytałem...

Cóż to była za radość! Nieboszczyk Kipling, mimo całego prawdopodobnie niemałego poczucia własnej wartości, nigdy chyba nie przypuszcza, ile dobrego sprawił w całym świecie. „Kot, który chodził własnymi drogami”, „Słoniątko czyli dlaczego słoń ma trąbę”, „Dlaczego tygrys ma pręgi”, „Dlaczego nosorożec ma fałdy”, „Jak powstał pierwszy list” — nie czytałem tego po raz wtóry, a po trzydziestu latach pamiętam każdą opowieść szczegółowo. Tak, to było przeżycie, które chyba przesądziło o mych sympatiach dla Anglików.

Mój ojciec był patriotą. Sienkiewicz, Trylogia — to było jego przeżycie. Zawsze mówił, że gdyby się uczył, to by został

adwokatem. A ponieważ był nieuczony, był tylko — ławnikiem, co go zmuszało chodzić piechotą czasem po 10 i więcej km na posiedzenie sądu gminnego. I przyjaźnił się z nauczycielem szkółki parafialnej, który mu ostatecznie zostawił w spadku kilka książek m. in. Trylogię. Tak, dawniejszy nauczyciel ludowy był inny jakiś niż dzisiejszy. Chciał się przyjaźnić prawdziwie z chłopem już dojrzałym, nie dzieckiem — i tę przyjaźń utrzymywał długie lata po wyjeździe ze wsi, faktycznie aż do śmierci. Przyjaciół mego ojca był warszawiakiem, tak. Ojciec często do niego jeździł z wizytami, a potem opowiadał cuda, jak to rodzina p. Lisieckiego przyjmowała go jak brata, na jakiej niesłychanej pościeli spał, jakie niestworzone potrawy jadł. Niesłychana przyjaźń. Co?

Ileż ten inteligent warszawski, pewnie jakiś idealistyczny marzyciel, pogrobowiec romantyzmu, czy socjalista, bo to wtedy było prawie to samo, ile on dał ciemnemu chłopu swą przyjaźnią, to pewnie ani on, ani ojciec w pełni nie oceniali. Dał mu życie umysłowe; w ogóle duchowe, oświecił, pokazał, co dobre i piękne, wzmógł poczucie własnej godności i pragnienie pięcia się do góry... Kto wie, czy nie jego zasługę przypisać fakt, że ojciec trojgu swym dzieciom dał najwyższe wykształcenie, jakie w kraju, a nawet zagranicą można otrzymać.

Dał? Dał, co mógł, dzieci zrobiły, co mogły, dobrzy ludzie pomogli, jak mogli — Pan Bóg pokierował jakoś... Dość, że chciał i dał.

Ale zacznijmy od początku. Ojciec był synem bogatego chłopu, lecz nie jednakiem, tylko siódmym, czy szóstym, w każdym razie najmłodszym. I tak wyszło, że po śmierci rodziców zostało mu siedem i pół morga gołego pola. Bez budynków, ani inwentarza. Umierając zaś zostawił trzy gospodarstwa dostatnie z budynkami i inwentarzem, mimo dwóch zupełnych spaleń i trzech wojen... Oprócz wykształconych dzieci. A wszystko to najuczciwiej, obok pracy politycznej, oświatowej, społecznej przy dużym zainteresowaniu do historii i literatury.

Oczywiście sam by tego nie dokonał. Miał odpowiednią żonę, której ja jestem dziewiątym dzieckiem. Biedna kobieta musiała zrobić w polu, oborze, chlewie, przy kurach, w ogrodzie, w domu, przy dzieciach. A jeszcze nieraz i do Częstochowy poleciała na piechotę. Jakżeby inaczej wychowała dobrze dzieci, wykształciła, zaopatrzyła, poeniła? Bo już spacer 15 km do Siedlec na targ z koszem nabiału, czy drobiu na plecach, prawie co tydzień, to normalny drobniacz, o którym nie warto wspominać. Umiała i ona czytać, ale tylko drukowane. Pisać i pisanego czytać nigdy nie umiała. Ale czytała b. dużo, przeważnie jednak książek religijnych. Kiedyś w dzieciństwie czytała biblię, zapewne rozpowszechnioną przez jakichś ówczesnych badaczy. Wszelako na rozkaz proboszcza dziadek spalił ją uroczystie i matka wspominała tę chwilę ze zgrozą.

Ale pociąg do historii świętej i do teologii pozostał jej na całe życie. I nie wiem, czy wielu teologów przerasta ją gruntownością ujęcia problemów i wnikliwością. Tak, matka była umysłem niezwykle jasnym, głębokim i żarliwym, w czym przewyższała ojca, któremu jednak ustępowała w dowcipie.

Myślę, że my, chłopscy synowie w wielkości wypadków zawdzięczamy więcej matkom, niż ojcom, bo matki więcej cierpiały i pracowały. I pociąg do Chestertona usprawiedliwiam u siebie dziedzictwem. Bo zarówno ojciec, jak matka byli to ludzie przekorni. Pogardzając wszelką banalnością, w każdej rzeczy i problemie dostrzegali oni strony nowe, przez innych niedostrzeżone. Skąd mowy nie było o zgodzie nie tylko z sąsiadami, ale i między nimi. Oczywiście o zgodzie w dyskusji, bo w uczynności sąsiedzkiej byli tymi dumnymi chłopami, co wiele robili „na turkę” (tak się to u nas nazywało). I zawsze więcej ludziom pomogli, niż ludzie im.

A poza rodzicami było w mojej wsi pełno Chestertonów. Gdy wspomnę „starych chłopów” z mego dzieciństwa, to podziw mnie ogarnia, ile tam było indywidualności, tak oryginalnych, że często posuniętych do dziwactwa prawie. I przemawiali tak, jak bohaterowie Chestertona: każdy z gniewem i przekonywująco, a każdy inaczej o tej samej rzeczy. Może wspomnienia wpływają na pewną przesadę, ale nie mogę się otrząsnąć z wrażenia, że odgadłem życie miejskie, a poznałem je od 11-go roku życia, to było ono i jest znacznie błedsze, uboższe i bardziej banalne od życia wiejskiego. Nawet inteligencja nie ma indywidualności. Są ludzie przeciętni, są typy. Oryginalność można spotkać dopiero gdzieś u jakiegoś profesora uniwersytetu, czy między wybitnymi rzemieślnikami, ale i tu znacznie rzadziej niż na wsi. Przynajmniej w mojej dawnej wsi.

Wiem ta była postępową, jak rzekłem. Czytało głośno książki, dawano przedstawienia, układano poezje. Mój stryj był u zdolnym poetą, a jako wielki oryginał był też jednym z ciekawszych przedmiotów poezji młodszych twórców. Młodzież się pięknie zabawiała, a nigdzie chyba tak dzieci nie umiały się bawić, jak moi rówieśnicy.

Tak rozwijając się bez gorączki, a stale i pewnie, współzyskując z naturą, bez nadmiaru towarzyskiego, nic dziwnego, że chłop wyrastał przeważnie na większego oryginała, większą i zdrowszą indywidualność niż przeciętny mieszczanin.

Tylko z punktu widzenia estetyki, o ile traktować indywidualność jako dzieło sztuki

ki, mogę powiedzieć, że chłop z mego otoczenia mieli bardzo silny wyraz, ale trochę za słabą formę. Bogactwo ich nie było świadomie uformowane, opravione, ułożone, tak, by nie tylko wywierało silne wrażenie ale i pociągało pięknem.

Cóż więc dziwnego, że czytając początkowo w nietęgich przekładach książki Kiplinga, Dickensa, Wells’a, po tym zaś Wilde’a i wreszcie Chestertona, byłem urzeczony nie tylko ich oryginalnością, podobną do chłopskiej, ale i formą, w jaką tamta była ubrana, dotychczas mi nieznana. Oprócz zaś formy podobały mi się u Anglików inne jeszcze, rzadkie u nas zalety, tak cenne: czystość, intelektualizm, dowcip i humor, szerokie zainteresowania, fantazja, szczerość itd. Są to wszystko zalety chłopskie. Chłop angielski, który dziś prawie nie istnieje, dzięki powyższym właściwościom, zdobył, można powiedzieć, świat. Cóż bez chłopu znaczącyby dyplomacja, polityka, imperializm? Jaka byłaby flota wojenna, handlowa, która jest całą siłą Anglii? To chłop angielski zaludnił Amerykę Północną i Kanadę, Australię, Nową Zelandię i Afrykę Północną. Zaludnił swą rozrodczością, uprawił pracowitością, uprzemysłowił pomysłowością, odwagą i ryzykiem, wywalczył niepodległość.

I ten chłop zostawił w literaturze swego narodu cechy swego charakteru, który jest podobny u wszystkich chłopów Europy. U nas w Polsce, cechy te nie przedostały się w takim stopniu do literatury, dlatego, że chłop nie był uznany za coś wartościowego. Oczy i uszy naszej inteligencji zwrócone były więcej na zewnątrz niż wewnątrz. Patrzyły za nowinkami. Bo gdyby jeszcze patrzyły na chłopów francuskiego, czy angielskiego, lub holenderskiego... Jeden był wyjątkiem — Prus — który i oceniał chłopów należycie i rozumiał. Ale naśladawców nie miał.

Wydaje mi się, że dlatego właśnie naród angielski jest silny, że jest wewnątrz nie zgodny w kontynuowaniu dzieła swych przodków chłopskich. Jeśli jest w czym słaby, to dlatego, że jest niewierny swej spuściźnie duchowej. Każdy Anglik jest dumny ze swej tradycji. A Polak — na ogół się wstydi i chciałby na wsi wszystko zmienić: ubiór, obyczaje, mowę, umysłowość.

Tymczasem zawsze miałem inne zdanie. Ojcowie nasi chcieli dobrze, mieli piękne i dobre obyczaje, a my winniśmy im wierność. Co nam zostawili, to trzeba szanować, nie przepić lub przegrać w karty, bo potem trudno się doroobić. Nie można lekomyślnie, bez zastanowienia odrzucać tradycji naszej, ale zbadać, czy przypadkiem, nie możemy się z niej odrodzić.

OGŁOSZENIE

INSTYTUT NAUKI I OŚWIATY ROLNICZEJ przy ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ — Warszawa, Pl. Starynkiewicza 7/9, konto P.K.O. Nr I-1564 poleca swoje najnowsze wydawnictwa rolnicze:

„BIBLIOTEKA SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ”

Nr 2	Inż. St. Zaliwski — „Krzewy owocowe”	str. 64;	cena zł 25,—
Nr 7	Doc. dr A. Listowski — „Ziemniaki	str. 40;	cena zł 20,—
Nr 9	Prof. dr. Z. Pietruszczyński — „Lucerna”	str. 40;	cena zł 25,—
Nr 10	Prof. Andrzej Mering — „Jak przetwarzać owoce i warzywa na użytek własny”	str. 72;	cena zł 30,—
Nr 11	Inż. Z. Dubiska i dr J. Dubiski — „Gospodarski chów kur”	str. 66;	cena zł 30,—
Nr 12	Dr J. Kielanowski — „Chów świń”	str. 52;	cena zł 30,—
Nr 13	Prof. dr M. Górski — „Nawozy i nawożenie”	str. 100;	cena zł 60,—
Nr 14	Prof. dr B. Świętochowski — „Poradnik Osadnika Śląskiego” część I — „Uprawa roli i roślin”	str. 128;	cena zł 70,—

„ZAGADNIENIA ROLNICZE”

Nr 6	Prof. dr J. Kochman — „Choroby wirusowe ziemniaków”	str. 20;	cena zł 20,—
Nr 10	Mgr J. Pieniążek — „Sok pomidorowy”	str. 16;	cena zł 15,—
Nr 11	Prof. dr E. Chroboczek — „Zagadnienie produkcji i przetwórstwa warzyw w chwili obecnej”	str. 44;	cena zł 20,—

„BIBLIOTEKA WIEDZY ROLNICZEJ”

Prof. dr M. Górski — „Nawozy organiczne”	str. 192;	cena zł 150,—
Komplet za 1946 r. miesięcznika „Chłopska Gospodarka” — 12 numerów wraz z spisem treści „Rocznik Gospodarski” na rok 1947	str. 300;	cena zł 80,— cena zł 120,—
Prenumerata roczna dwutygodnika „Chłopska Gospodarka” ok. 600 stron druku — wynosi		zł 160,—
Prenumerata półroczna dwutygodnika „Chłopska Gospodarka” wynosi		zł 90,—

*) W części drugiej redakcja uważa artykuł za dyskusyjny.

JAKIEJ POWIEŚCI CHCE DZISIEJSZA WIEŚ?

(Wypowiedzi uczestników konkursu)

Bieniek Józef (Librantowa – Nowy Sącz):

Wydaje mi się, że w tytule konkursu kryje się lekkie nieporozumienie. Gdybyśmy się bowiem chcieli oprzeć tylko na tym, czego szeroki ogół zabkujących czytelników chce — doszlibyśmy do smutnych wniosków. Czytająca wieś, poza pewnymi wyjątkami, nie doszła jeszcze do takiego stopnia świadomości by mogła jasno, a pozytywnie sprecyzować pod adresem twórców literatury takie postulaty, których sens byłby wykładnikiem duchowych i umysłowych potrzeb dzisiejszej wsi. Miarodajne w tym wypadku mogą być tylko opinie działaczy społecznych i przodowników oświatowo kulturalno wychowawczych, względnie wybitnie inteligentnych księżkożerców, zorientowanych w sytuacji i mających poczucie odpowiedzialności za rzucone słowo.

Nie mam pretensji do wyżej zdefiniowanego typu chłop, ponieważ jednak już od dziesiątego roku życia poprzez prowadzenie biblioteki szkolnej, później T. S. L. u, a wreszcie swojej własnej bezustannie parę się z książką, przeto siłą faktu zagadnienie stanowiące istotę konkursu jest mi bardzo bliskie i dosyć przejrzyste. Z doświadczenia więc wiem, że najgorzej na wsi idą książki najbardziej chłopu potrzebne — z zakresu wiedzy fachowej: rolniczej, zaś najchętniej brane są: egzotyka, wojna, podróże i kryminalistyka. Nie znaczy to jednak, żeby na półki wiejskiej biblioteki dawać tylko to, czego nie wyrobiony czytelnik żąda, o co prosi.

Książka na wsi nie może być traktowana po mejsku — jako cukierek, którego spożycie daje moment fizycznej przyjemności, nie sycąc głodu, nie wzmacniając organizmu. Książka musi jak desant wpadać w ciasne kręgi uczuć i pojęć — być partyzancką dywersją długą, wytrwałą, aż do skutku zwalczając wraże siły zła, ciemnoty, podłości i apatii okupujące życie gro mady chłopiejskiej. Od siły ideowej, moralnej i dydaktycznej skoncentrowanej w operującej dany odcinek książce, od kształtu, mocy, wymowy i zdolności oddziaływania występujących w niej elementów — zależy czy akcja osiągnie pozytywne rezultaty, czy obcując z czytelnikiem za płodni umysł jego lub serce owocem dobrego, czy w wielkim boju społeczności chłopiejskiej o światło, godność i dobroć stanie się czynnikiem decydującym o zwycięstwie. O to przecież tylko chodzi. Taką więc książkową armię partyzancką zmobilizować trzeba i puścić na wieś bez względu na to, czy ona zdaje sobie już sprawę z jej wartości i potrzeby, czy też nie.

Wypożyczając w Czytelnicy T. S. L. książki przeprowadziłem przez zimę 1938 r. małą ankietę na temat szczególnie się narzucającej uwadze czytelnika książki, oraz dokładne obliczenia dotyczące obrotu poszczególnych książek. Mam wrażenie, że nie od rzeczy będzie w odpowiedzi konkursowej wykorzystać uzyskane dane.

Ankieta miała trzy pytania:

Co w czytanej książce podobało mi się najbardziej — która postać, które zdarzenie i dlaczego?

Do której z postaci występujących w książce chciałbym się upodobnić i dlaczego?

Czy są podobieństwa w sprawach i ludziach opisywanych w książce z życiem jakie nas otacza i jakie?

Z szesnastu czytelników (chłopcy i dziewczęta po czwartej powszechnej w wieku 14 do 30 lat), którzy stanęli do ankietowego konkursu, z zadania wywiązało się jedenastu. Oto kilka wyjątków z bardziej godnych uwagi wypowiedzi:

Z wielu przeczytanych książek najbardziej podobały mi się dzieła Orkana — nie żeby były specjalnie ładne, ale dlatego, że autor trapi się o los chłopów i o inne życie wsi. Ten sam czytelnik, 20-letni chłopak z „specjalnie ładne” uważał książki Fiedlera, Bakstera, Zane Grey i Londona.

Inny po przeczytaniu „Sobola i Panny” Weysenhoffa tak pisze: „Nie lubię książek, których połowę zajmują opisy przyrody. Ja się drzewem i słońcem napatrzyć codziennie i to mi wystarcza. W książce szukam inności — przygód, wielkich zdarzeń, bitew i dalekiego świata. Podobały mi się

takie książki jak „Strzępy Epopei” Wańkowicza, „W polu” Rambeka, Trylogia Sienkiewicza, „Carski kurier” Werne’a.

O Rodziewiczównie pisze 18-letnia dziewczyna: Wszystkie książki Rodziewiczówny podobają mi „straśliwie” bo jest w nich dużo dobroci, miłości i wiary. Ale ciekawiej od Rodziewiczówny pisze Mniszkówna — „kiedy przeczytałam „Trędowatą” przez dwie godziny bucałam jak cielica”.

Chłopak o życie społecznika pisze tak: Z kilkunastu przeczytanych książek najbardziej podobały mi się Żeromskiego „Popioły” i „Ludzie bezdomni”, a w nich dr. Judym. Chciałbym tak jak i on rozwalić te śmierdzące nędzą i głupotą budy, w których chłopie gnoją swoje życie, chciałbym, aby na ich miejscu stanęły wielkie budynki pełne światła i dobrobytu.

Duże uznanie wśród ankietowców zdobyła sobie powieść pamiętnik szwedzkiego lekarza Aksela Munthe, w której na każdej kartce tyle dobroci co w ewangelii, za jej uśmiechnięty styl, żartobliwy, a dziwnie prosty i trafny sposób określania ludzi, za rzadko spotykaną miłość człowieka, zwierząt i natury.

Cztery wypowiedzi były prawie identyczne: Lubię tylko takie książki, które piszą o Sybirze, Azji, Afryce, o wojnach i przygodach. Moimi autorami są: Ossendowski, Marczyński, Kipling, Fiedler i Grey Owl (Szara Sowa).

Jest rzeczą charakterystyczną, że na jedenaście wypracowań zaledwie jedno zwróciło uwagę na piękne opisy przyrody. Reszta nie żeby nie dostrzegła tej strony powieści, ale poprostu skwapliwie pomijała każdy ustęp poświęcony naturze goniąc za elementami akcji, ruchu, zdarzeń.

W setkach rozmów o książkach stwierdzić zdołałem, że chłopie na ogół opisów natury, choćby najpiękniejszych, nie lubią. Żyli się z nią głęboko i opatrzyli, jest jednym z codziennych rekwizytów znojenego życia — kochają ją, gdy im sprzyja. Są oni niby stary lekarz — operujący młodą i piękną kobietę — jej wspaniałe ciało nie budzi w nim ani zachwytu ani żądzy — jest całkowicie pochłonięty troską o udany wynik swej pracy.

Ciekawe też są porównania pewnych książek, lub czyjeś twórczości z ludźmi i rzeczami. Więc o jednej z książek Courts-Mahlerowej mówi formalnie z dworu: Taka ta książka, jak nasza młoda dziedziczka — piękny pyszczek, wspaniała suknia, dobre perfumy, ale we łbie trociny, a w sercu lajno. Nie jedną noc z parobkami prześpała.

O Wiktorze inny chłop: Książki Wiktora przypominają mi naszą nauczycielkę — takie to ładne, cichutkie i skromne, a nieba by chłopu przychylić rade. O sprawy wsi troszczy się jak o swoje szczęście, a jak do człowieka przemówi, to kiejbyś miodu liznął — tyło w niej dobroci i słodyczy.

Przypadkiem kiedyś zaplątała się do wsi powieść Mostowicza „Drugie życie dr. Murka”. Dziewczyna, która książkę wypożyczyła w mieście nie miała dosyć słów zachwytu: cudna, ale to precudna książka, podczas gdy więcej ocytany chłopak tak ją definiuje: Jest to poprostu klozet inteligentnego światka posiadający kryształowy i pięknie wykonany zlew, pełen jednakże gnoju, w którym autor z rozkoszą grzebie.

Jeśli chodzi o czysto estetyczną stronę zagadnienia to stwierdzić wypadnie, że na ogół artystyczna głębia dzieła, subtelności stylistyczne, forma pełna finezji i wdzięku nie stanowią w pojęciu przeciętnego czytelnika o istotnej wartości danego dzieła — są to znamiona raczej odczuwalne niż dostrzegalne, które uważa się za momenty czysto dekoracyjne i ozdobne. Gdy zwróciłem moim konkursistom uwagę na szczególnie piękną oprawę językową książek Prusa, Reymonta czy Szolochowa — odpowiedział mi jeden mądrala: gruntu to treść, bo książka jest jak człowiek — do bry, lub zły, albo nijaki. I nie suknią go zdobi, lecz on suknię. Gdy dziewczyna piękna w najskromniejszym stroju budzi

będzie zachwyt i czar — paskudzie jedwabie nie pomogą.

Zaznaczyć należy, że konkursiści moi to w mniejszym lub większym stopniu samoucy, którzy czytali po kilkadziesiąt a nawet po kilkaset książek, stąd ich zdolność do samodzielnego określania i krytycznego stosunku do spostrzeganych zjawisk.

A teraz o statystyce ruchu książek. W ciągu miesięcy zimowych I.XII — 31.III. 45 czytelników wypożyczyło ogółem 816 tomów. Wypożyczalnię urządziłem przy sklepiu, czytelnicy mogli wymieniać książki codziennie i w każdej chwili, co niewątpliwie dodatnio wpływało na szybkość obrotu poszczególnych dzieł. Ogółem czytelnia posiadała 200 tomów, skompletowanych starannie o dosyć wysokim poziomie.

Najwyższą cyfrę wypożyczeń od 30 do 40-tu osiągnęły: „Trylogia” i „Krzyżacy” Sienkiewicza, trzy powieści podróżnicze Ossendowskiego, „Popioły” Żeromskiego, Remarque „Na zachodzie bez zmian”, „Serce za tamą” Morcinka, i tegoż „Wyraźny chodnik”, „W polu” Rambeka, „Żywoty męczenników” Duhamela, „Las wisielców” Liwii Rebreanu, „Zielona karda” Kossowskiego, „Wyspa skarbów” Stevensona i Londona „Przygody w Zatoce San Francisco”, „Miłość życia” i „Prawo białego człowieka”.

W drugiej grupie wypożyczeń od 20 do 30-tu znalazły się: Kiplinga „Kim”, Aksela Munthe „Księga z San Michele”, Orkana „Pomór”, „Komornicy” i „Drzewiej”, Finka „Jestem głodny”, Fiedlera „Jutro na Madagaskar” i „Kanada pachnąca żywicą”, Żeromskiego „Wierna rzeka”, Sieroszewskiego „Ze świata”, Rodziewiczówny „Dewajtis”, „Pożary i zgłiszcz”, Prusa „Placówka” i „Faraon”, Blasko Ibanesa „Meksyk” i „Czterech jeźdźców Apokalipsy”, Mostowicza „Znachor”, Grey Owl’a „Szara Sowa”, Lepeckiego „Sybir wspomnień” i „Sybir bez przekleństw”, Szolochowa „Zorany ugor”, trzy powieści Wańkowicza z czasów rewolucji rosyjskiej, Andrzejewskiego „Ład serca”, Nowakowskiego „Kucharz doskonały”, z „Geografią serdeczną”, Wiktora „Orka na ugorze”, „Tęcza nad sercem” i „Wierzy nad Sekwaną”.

Od 10 do 20 razy wypożyczono: Żeromskiego „Ludzie bezdomni”, Kossak Szczuckiej „Krzyżowcy”, Rodziewiczówny „Szary proch”, „Straszny dziadunio”, „Wrzós”, Cervantesa „Don Kiszot”, Tolstoja „Wojna i pokój”, Hamsuna „Głód” i „Włóczęgi północy”, M. Ostensa „Pole kamieni”, Kurka „Grypa szaleje w Naprawie”, Londona „Wilk morski” i „Odszczepieniec”, W. Hugo „Nędznicy” i Reymonta „Chłopi”.

Najmniej, bo od 1 do 10 pobrano: „Listy ze wsi” Orkana, „Pamiętniki włóciannina” Słomki, „Żywot chłopca działacza” Magrysia, „Pan Tadeusz”, „Ojciec zadżumionych”, cztery powieści historyczne Kraszewskiego, „Matka” Sewera, i Nałkowskiej „Dom kobiet” (1 raz).

Z dziesięciu książek traktujących o rolnictwie trzy wypożyczono po dwa razy, reszta siedziała w dziewiczym stanie. Raz tylko zdarzyło mi się, że zamiłowany pszczelarz i inny miłośnik koni poprosili o podręczniki chowu koni i pignacji pszczoł.

Typem twórczości uznanej i głośniejszej, a przecież na wsi nie mającej najmniejszego „hycu”, to powieści Nałkowskiej, w których, jak powiadają chłopie, ino się gada, mruga, uśmiecha i drży, Żegadłowicza, w których się tylko gada, Perzyńskiego, Kleyszczynskiego, Grubińskiego, a z nowszych Szulca, Ważyka, Uniłowskiego itp.

A propos tych ostatnich to ciekawe, że chłop, którego życie jest jednym pasmem najsurowszego realizmu w opisach przeładowanych ową „surową prawdą życia” grzebać się nie lubi. Naprz. o „Grypie w Naprawie” powiedział jeden z czytelników chłopów, że to wprawdzie książka o wsi, ale nie dla wsi. Chłopu nie pilno wieść dzieć co się dzieje w kiblu, na którym siedzą dla se pani sędzina.

Istotną cechą dobrej powieści dla wsi będą aspekty natury moralnej, dydaktycznej i wychowawczej. Naczelną troską nowej literatury polskiej winno być stworzenie takiego typu powieści, któryby był zdolny do ciężkiej „Orki na ugorze” — do przeprowadzenia zwycięskiej walki o głęboką supremację w stosunkach międzyludzkich Chrystusowego ideału miłości bliźniego, sprawiedliwości, mądrej dobroci i piękna. Zespolenie w takiej powieści pewnych charakterystycznych cech twórczości Orkana i Wiktora z Młodożeńcówą porównałaż ziemi i trudu chłopiejskiego przy lekkości stylistycznej Nowakowskiego i Fiedlera, sięgnięcie do kapitalnych dzieł Szolochowa, Gorkiego, dałoby moim zdaniem wyniki znakomite, tworząc idealny typ powieści, którą pragnęła wieś przyjąć z entuzjazmem.

Kiedy jesteśmy przy pisarzach sowieckich nie od rzeczy będzie dodać, że na pytanie jaką powinna być powieść dla wsi niezłą odpowiedź dałaby analiza historii rozwoju porewolucyjnej literatury ZSRR, względnie zbadanie stosunku, jaki zajęła ona odnośnie problemów wychowawczo-propagandowych. Można o Rosji mówić różnie — być jej sympatykiem lub nie, przyglądając się jednak sprawom tamtejszym nie sposób nie uznać wspaniałego rozkwitu i wysokiego poziomu jej literatury opartej o zgóry wykreślony kierunek ideologiczny.

Pomijając treść owego kierunku, — pragnąc by należało gorąco, aby drogi wsi polskiej ku zdobyciu wiedzy i dobrobytu rozświetlały setki latarni-książek o tak żarliwym blasku i tak mocno przekonującym stosunku do tych zagadnień — jak to ma miejsce w Związku Radzieckim odnośnie komunizmu.

Reasumując i streszczając się stwierdzam, że wieś chce takiej powieści, która by przed chłopem odkrywała nowe przestrzenie prawd, poznań i doznań, która by

SPÓŁDZIELNIA OWOCARSKO-WARZYWNICZA

SAMOPOMOC CHŁOPSKA

w Warszawie

tel. 8-72-88,

ul Koszykowa 65

WARZYWA — OWOCE — OGÓRKI KONSERWOWE

I PASTA POMIDOROWA W PUSZKACH.

ARTYKUŁY PRZEMYSŁOWE DLA WSI.



Na zamówienie odbiór i dostawa własnym taborem.

przeświałała życie jego mądrą i żywą do brocią, któraby sięgała w głąb duszy zdra-
pując z niej skorupę głupoty, zła, zawiści,
apatii i małości — siejąc w ich miejsce do-
bry zapal, zdolność samodzielnego akty-
wizmu w myśli i czynie, czynny i życzliwy
stosunek do Ojczyzny, choćby kosztem
największych wyrzeczeń, obywatelski a
rzetelny stosunek względem władz, ustaw
i praw, umiłowanie ziemi i trudu z nią
związanego, czystości, wiedzy, prawdy i
piękna, któraby poprzez ukazywanie chłop-
skich wartości i zapoznanie z pozytyw-
nymi momentami historii chłopskiej i jej
wkładu w dzieje narodu i państwa dźwiga-
ła wysoko jak sztafeta poczucie godności
osobistej i klasowej chłopstwa niwelując o-
sławiony i do dziś jeszcze gnący karki
chłopskie kompleks niższości.

Na opracowanie takich typów powieści
czekają setki tematów, a więc czasy Pia-
sta, Łokietka i jego związki z chłopami,
chłop-bohater z pod Wielkich Łuków, pie-
chota wybraniecka i łanowa, czasy „Poto-
pu” i udział chłopów w walkach z najazd-
cami, Kostka Napierski, lata 1831 i 63,
Kościuszko i dzieje jego chłopskiej armii,
bunt Szeli, dzieje pierwszych ruchów po-
lityczno-społecznych i wolnościowych na
wsi, tamta wojna światowa, rok 1920, o-
kres między tamtą i ostatnią wojną, wal-
ka z pilsudczyzną i sanacją, Brześć i Be-
reza, strajki chłopskie i wreszcie najbo-
gatszy, bo prawie w całości o wieś oparty
ruch wolnościowy lat 1939 — 45. Historie
partyzanckich oddziałów B. Ch., A. K. czy
A. L., martyrologia tysięcy chłopów w
płonących wioskach i osiedlach, po wię-
zieniach, obozach i placach straceń — oto
tematy do jakże fascynujących powieści,
czy reportaży.

Niemniej ważne i dobre byłyby powie-
ści dające przekrój wielkich zmagania i
wielkich osiągnięć takich ludzi jak Słom-
ka, a specjalnie Magrys — historia prze-
miany Albigowej i Handziówki z zacio-

ranych do izna nędzą wiościny na kwitną-
ce dobrobytem osiedla, dzieje rozwoju wsi
niemieckiej, duńskiej czy wogóle zachod-
nio europejskiej, powieści i reportaży z ży-
cia chłopów innych krajów Europy, Ame-
ryki czy Azji z uwypukleniem szczególnie
ważkich momentów w historii ich kultury
i gospodarczych przemian, po-
wieści i reportaży z życia wsi polskiej ze
specjalnym położeniem nacisku na pod-
stawowe przyczyny i elementy postępu,
ruchu i rozwoju — śmiało rzutowania na
przyszłość, plany gruntownej reorganizacji
gospodarki chłopskiej, odrodzenie duchow-
e i kulturalne wsi przedstawione w parze
z interesującą fabułą, pięknym i jasnym
stylem, czystą polszczyzną — oto moim
zdaniem cechy powieści jakiej może chcieć
wieś dzisiejsza.

Taka właśnie powieść winna zabłądzić
w sensie masowym i powszechnym pod
chłopskie strzechy, gdyż tylko taka zdol-
na będzie spełnić swoje gigantyczne po-
słannictwo, aby stać się witaminą dla u-
czuć i pojęć, szkicem, planem i podstawą
do przebudowy struktury moralnej, kul-
turalnej i gospodarczej wsi, drogowskar-
zem kierującym falę wędrowców po zielo-
nych łożyskach wsi na właściwe szlaki
światłem widniącym drogi chłopskie, zło-
tym rogiem wołającym rzesze ku tworze-
niu jasnemu czynów i pozytywnych zda-
rzeń, a wreszcie owocem, którego spożycie
daje chwilę dobrego zapomnienia i ciszy,
słodkiej rozkoszy duchowej, twórczej za-
dumy, czy gorzkiego bólu, w którym rodzi
się bunt, wola czynu i walki.

Na koniec mała dygresja: Ważne to za-
gadnienie jakiej powieści chce wieś, ileż je-
dnak ważniejsze jest to, jakimi drogami i
sposobami dać książki wsi, szybko i gęsto.
Bo, zgodzicie się z tym, że to co się na
froncie wydawniczym do dziś zdarzyło na-
pawa nie otucha, lecz przerażeniem.

Józef Bieniek

Adolf Kotarba (Chrzanów, poczta Włochy):

Chcę odpowiedzieć na pytanie: Jakiej po-
wieści pragnie wieś? — trzeba stwierdzić,
jakie książki czytała dotąd polska wieś. Nie-
zbyt pochlebne mam zdanie w tej materii.

Wieś czytała mało, przeważnie zima, na-
turalnie frekwencja czytelników była znacz-
niejsza na zachodzie, niż w pozostałych czę-
ściach kraju. Chłop o ile posiadał żyłkę czy-
tania, czytał dotąd to, co mu wpadło w rękę.

O zorganizowaniu czytelników ludowych nie
wiele wsi dotąd pomyślało, a i te gdy już
powstały, niejednokrotnie zakupywały książ-
ki okazynie, byle taniej, byle więcej, byle
obsłużyć mogły liczne rzesze amatorów czy-
tania, czy kształcenia się.

Początki każdej biblioteki gminnej, czy
wioskowej były prawie jednakowe, a więc
następowała zbiórka książek po domach
(wybrakowane, stare, zniszczone, nieraz bez
wielu kart). Urządzało się następnie skład-
kę pieniężną, lub częściej zabawę taneczną,
lub majówkę z przeznaczeniem czystego zys-
ku na zakup książek. Kupowało się więc
książki okazynie, książki stare z przed kilku
dziesięciu lat, nie patrząc na tytuły i nazwi-
ska autorów, byle książka była ładnie opra-
wiona, gruba i miała wszystkie kartki. To

był szczyt wymagań 90 proc. rodzimych bi-
bliotekarzy.

Nie można się im nawet dziwić. Nie znali
się na tym fachu, a ten kto by mógł dora-
dzić „nie miał czasu”, lub nie chciał się
bawić w szerzyciela kultury. Książki radził
Żywoty Świętych, organista „Barbarę
Ubryk”, nauczyciel — zależnie od zamilo-
wań i specjalności: historyk powieści histo-
ryczne Kraszewskiego czy Sienkiewicza, poe-
zie wieszczów i inne, cenne lecz i drogie
książki nie dbając o Żeromskiego, Reymon-
ta, Prusa czy Orzeszkową lub Zapolską.
Drugi znów, zakochany w Balzaku radził
tylko jego dzieła. Przyrodnik popierał tylko
Maeterlincka. Jeden do Sasa, drugi do la-
sa... Dlatego też księgozbiory bibliotek gmin-
nych czy gromadzkich, względnie Kółek
wieskich, przedstawiały się bardzo chaot-
ycznie.

Przeczytał ktoś jedną nudną i drugą nudną
książkę, to przestawał czytać. O książkach
fachowych rolniczych, uprawie roli, zbóż
czy okopowych, hodowli drobin czy bydła,
w bibliotekach wiejskich często nie pomy-
ślano. Uważano, że sama praktyka wystar-
czy.

Dlatego też odpowiadając na pytanie,
stwierdzam, na podstawie praktyki życio-
wej, że wsi potrzeba wiele i wielostronnych
książek i takich książek wieś polska wy-
gląda.

Od siebie przesyłam trzy prace konkurso-
we*). Być może, że pisarze, którzy otrzy-
mają je, przyczynią się do zaspokojenia
głodu czytania na wsi.

PROJEKT POWIEŚCI pt. „ORŁY PODNIEBNE”

Uwagi dla przyszłego autora: Jest pod
Krakowem wioska — osada chałupnicza,
zamieszkała przez samych ślusarzy z dzia-
da pradziada. Istnieje od czasu Kazimie-
rza Wielkiego, który sprowadził z Węgier
12 płatnerzy z rodzinami i osadził ich w
Polsce, by tutaj kuli broje dla rycerstwa,
we wsi Górki. Wieś ta dzisiaj zwie się
Świątyni Górne. Jest ona położona o 100
m wyżej od rynku krakowskiego i domi-
nuje nad całą okolicą. Stąd zobaczyła po-
raz pierwszy Kraków młoda królowa Ja-
dwiaga, jadąc z Węgier do Polski. Serdecz-
nie musieli ją witać synowie i wnukowie
jej złomków, osadzonych w Polsce. Jak
wspominają historycy odprowadzili oni
młodą królową do Krakowa.

Otrzymali oni wówczas przywilej strzeże-
nia katedry wawelskiej i przywilej ten u-
trzymany został do dzisiaj w mocy. Stąd
też i zmieniona nazwa wsi.

Obecnie liczą Świątyni około 1600 mie-
szkańców: w r. 1910 liczyły 4.100, w tym
2.300 mojego nazwiska.

W r. 1888 założona została w Świątyni-
kach państwowa szkoła ślusarska, która za-
siłiła przemysł polski niejedną porządną
siłą fachową, jak wermistrze, kreślarze,
technicy, maszyniści kolejowi i in., a w o-
statnich 20 latach mechanikami lotniczymi
i pilotami.

Z tych chciałbym wybrać bohaterów pro-
jektowanej powieści lotniczej dla młodzie-
ży. Nazwiska podane przez mnie będą
autentyczne, bo to moi krewniacy, ale
wartoby może podać ich pod innymi, tym
łatwiej, że w miejscowościach o wielu po-
wtarzających się nazwiskach, każdy czło-
wiek ma jakieś przezwiśko, nazwę je „prze-
zwą”, której się nie wstydzi. Ale o tym pó-
źniej.

Charakterystyka Świątynian. Zapalni,
dlatego kłótili, biedni, może dlatego do-
brzy i uczynni, patriotci jakich mało, lubili
zawsze uczyć, tańce, zabawy, pijatyki i
śpiew. Ten ostatni należy postawić na pier-
wszym miejscu. Naród wojowniczy i żoł-
nierski. W r. 1939 w W. P. było Świątyni-
czan: 2 pułkowników, 7 lub 8 majorów (je-
den z płk Kotarba Beniamin poległ pod
Rzeszowem w 1939 r., o innych wiele nie
wiem). Wszyscy prawie o tych samych na-
zwiskach.

W czasie powstania na Krete w 1897 r.
60 Świątynian poszło na ochotnika na
pomoc powstańcom. Co karczma aprowi-
dowała się i kto już wydał wszystkie pie-
niądze zostawał, bo jakże miał podróżować
bez grosza? Ostatnich dziesięciu wróciło na
czwarty dzień. Kierunek mieli dobry, bo

*) Z projektów powieści nadesłanych
przez A. Kotarbę drukujemy pierwszy p. t.
„Orły podniebne”.

południowy, lecz brakło im forsa na po-
dróż (autent.).

W powstaniu styczniowym było ich kil-
kunastu, z moim dziadkiem na czele, któ-
ry stracił nogę w powstaniu w górach świę-
tokrzyskich.

W Leg. Pol. służyło nas kilkunastu. Pra-
wie sami sterżanci, bo to chłopcy zmyślni.
Kilkunastu Świątynian posłada krzyże
V. M., kilkudziesięciu Krzyże Walecznych.

Wracam do konkursu. Większość lotni-
ków - Świątynian służyła w 2 p. lotn. w
Krakowie. Głową ich rodu był mój ciotecz-
ny brat Józef Kotarba, sierżant - pilot jesz-
cze z poprzedniej wojny. Po katastrofie w
1939 r. kto miał na czym, wyfrunął do Ru-
munii i dalej do Francji i Anglii.

Nie starczyło dla wszystkich skrzydeł lot-
niczych. Zostali w kraju niektórzy z nich,
ale tylko do zimy. Gdy spadły śniegi jedna
para bliźniaków — Własów, siostrzeń-
ców Józka Kotarby i druga para bliźnia-
ków — Kotarbow, Antos i Mietko, przypięli
narty i pojechali na Węgry, a stamtąd da-
lej.

Zeszli się w Londynie i policzyli. 16-tu
Świątynian w tym 8 Kotarbow — z Józ-
kiem Kotarbą, pilotem i jego, a także i
moim bratem ciotecznym Stefanem Dęb-
skim, mechanikiem lotniczym, na czele.

Po tym pierwszym kongresie lotniczym,
Stefek D. napisał do ciotki swojej w Chica-
go, podając jej cały imienny skład lotni-
czej ekipy Świątynickiej, ta znów z kole-
jeszcze przed zerwaniem stosunków dypl-
matycznych pomiędzy Stanami Zjedn. a
Niemcami, przekazała wiadomość do nas.
Stąd wiemy, kto był w Londynie. Po po-
wrocie choćby jednego z nich, dowiemy
się reszty.

Który z nich padł, który żyje, dokładnie
nie wiemy. Dotąd napisał St. Dębski, adre-
sując do żony, która przetrzymała 5-letnią
karnię w Oświęcimiu i powróciła ze starga-
nym zdrowiem. Pochwaliła się nieboga
mężem lotnikiem i wpadła do obozu, pozo-
stawiając czworo dzieci w wieku od 1 do
10 lat na łasce losu. Dziećmi zajęła się cio-
cia, a moja stryjka i dochowała je do
powrotu matki.

Książkę „Orły podniebne” podzieliłbym
na następujące rozdziały:

I. W krakowskim pułku lotniczym — (z
fantazji na podstawie powyższych notatek).

II. Wojna w 1939 roku — (informacje od
uczestników lotników 2 pułku lotniczego w
Krakowie).

III. Katastrofa — (ratowanie resztek
sprzętu i ludzi).

IV. Emigracja — (Rumunia, Węgry, Jugo-
sławia, Francja i Anglia).

V. Wojna na śmierć i życie — (Anglia,
Afryka, Włochy, a zwłaszcza Niemcy. Na-
loty i naloty — z fantazji pisarza, o ile mo-
żności lotnika).

VI. Po zawieszeniu broni — oczekiwanie
na powrót do kraju.

VII. Powrót do kraju.

Dalsze uwagi: Twórca powieści powinien
odwiedzić Świątyni Górne, gdzie uzyskał-
by wiele koniecznych szczegółów do powie-
ści. Dobrze by było, by był nim lotnik, jak
Juliusz Meissner, na przykład.

Adolf Kotarba

S B W SPÓŁDZIELNIA BUDOWNICTWA WIEJSKIEGO SAMOPOMOC CHŁOPSKA z odpow. udziałami

CENTRALA: Warszawa, ul. Grójecka Nr 12/14. — Telefon 22-377. — Skrót
telegraficzny „ESBEWUSAM”.

ODDZIAŁY: Białystok, Bydgoszcz, Gdańsk, Katowice, Kielce, Kraków, Lublin,
Łódź, Olsztyn, Poznań, Rzeszów, Szczecin, Warszawa i Wrocław.

WYDZIAŁ BUDOWLANY:

- 1) opracowywanie planów i projektów budownictwa wiejskiego,
- 2) prowadzenie robót budowlanych w zakresie nowoczesnego
budownictwa wiejskiego,
- 3) poradnictwo techniczne i organizacyjne w zakresie planowa-
nia i wykonywania budownictwa wiejskiego,
- 4) szkolenie wykonawców i instruktorów budownictwa wie-
jskiego.

WYDZIAŁ WYTWÓRNI MATERIAŁÓW BUDOWLANEYCH:

- 1) organizacja i prowadzenie wytwórni materiałów budowa-
nych,
- 2) poradnictwo techniczne i organizacyjne w zakresie planowa-
nia, organizacji i prowadzenia wytwórni materiałów budow-
lanych.

WYDZIAŁ HANDLOWY:

Dostawa wszelkiego rodzaju materiałów budowlanych: bez-
pośrednio w ładunkach wagonowych i w mniejszych ilościach
z własnych składów.

Mikołaj Szmigularz (Wrocław):

Wieś polska, chociaż żyje potrzebami
ogólnoobywatelskimi, nie oderwana od ży-
cia społecznego, ma jednak pewne cechy
odrębności w sobie. Chłop styka się czę-
ściej z przyrodą, współpracuje z nią, jak
zachodzi potrzeba walczy, rezultaty swojej
pracy widzi ciągle przed oczyma. I wie, że
jakie zasoby siły i starań w nią włoży, takie
będą jego plony.

W zetknięciu się z innymi warstwami
społecznymi, współpraca nie zawsze udaje
się. Człowiek miasta żyje życiem burzliwym
— ruchliwym, ale za to mniej treściwym.
Pracownik biurowy, urzędnik, przyzwyczai-
ony już jako maszyna do odrobienia swe-
go, a później — albo w cichym kącie wy-
począć, albo zając się przeważnie sprawa-
mi własnymi. Podobnie i robotnik po pra-
cy przestaje się interesować pracą. Czy w
fabryce, czy kopalni — jakie wydarzenie —
nie jego sprawa. Głowa o to nie boli go, je-
śli przyjdzie jakiś wypadek — byle on tego
uniknął. A chłop? W dzień i nocą zaintereso-
wany ciągle swoją pracą, potrzebami, czy

to w gospodarce samej, czy poza nią. W
nocy drży, gdy zerwie się burza, aby jego
plony nie poszły na marne, po pracy my-
śli, jak rozliczyć się z państwem, spółdziel-
nią, jakie stanowisko zająć w samorządzie.

W związku z tym wieś oczekuje ciągle na
powieść, która wypłynie z człowieka żyją-
cego w niej i kłopotającego się razem z nią,
który walczy i współdziała z nią nieroz-
ważnie.

Byli „Chłopi” Reymonta. Opowieść o ol-
brzymim artyźmie. Odzwierciedlił w niej
Reymont wieś 19 wieku. Wieś ta żyje swoi-
mi sprawami niezainteresowana tym, co
się dzieje w świecie. Był Orkan, który czy-
to w „Roztokach”, czy innych utworach
ciągle płakał i wzdychał, że wieś przepojona
ciemnotą, niezaradnością, że swoich
przewodników lekceważy. Jedyne „Listy
ze wsi” mają znaczenie dla dzisiejszego
człowieka.

Był Burek z „Drogą przez wieś”, ale to
tylko płytkie felietony, gawędy wieczoro-
we. Jedyne J. Wiktor „Orka na ugorze”

trafił do serc młodzieży. Dobit „Błogosławiony chleb ziemi czarnej”. Ale i „Orka na ugorze” całokształtu zagadnień nie porusza. Nie wspominam o Żeromskim, Sienkiewicz, których powieści do głębi wstrząsnęły duszą młodą, zwłaszcza Żeromskiego, gdy myślimy o pracy społecznej, a Sienkiewicza, gdy wspominamy naszą przeszłość. Ale to wszystko należy do przeszłości, dzisiejsza wieś czeka, czeka na powieść o niej i dla niej, która zastępy nie partyjników, ale czeka na wychowawców.

W moich myślach powstała kilka lat temu powieść, która składałaby się z trzech części.

Pierwsza część tej powieści to „W drodze po prawdę”. Przedstawia ona wieś polską po wojnie światowej. Bohaterzy to rodzina np. Józefa, który wraca z wojny do domu, wychowuje dzieci wśród społecznych walk, partyjnego wstępczństwa aż do zamachu majowego. Po zamachu majowym, gdy chłop dostał „pałkę w łeb” dorasta mu trzech synów. Dużo mają zamiłowania do nauki. Jeden ciągle szpera w żelaznych gratach i naiwnie twierdzi, że buduje samolot. Ojciec, gospodarz na dwu ha, nie może syna ani jednego oddać do miasta do szkoły. Najstarszy syn czyta, uczy się, ciągle szpera w przeróżnych papierzykach, aż na egzaminie nadzwyczajnym ku zdziwieniu wszystkich zdaje celując 7 kl. W tym czasie trafia do organizacji młodzieżowej. Staje się b. czynny. Korzysta z kursów społecznych, gospodarczych i spółdzielczych. Kończy pomyślnie kursy Staszica P.R. z zakresu średniej szkoły, robi przewrót w swojej małej gospodarce, zostaje kierownikiem Spółdzielni, a w końcu trafia jeszcze na U. Ludowy. Ze sobą pociąga nie tylko młodzież swoją, ale okoliczną. Zostaje prezesem pow. zarządu Młodzieży Wiejskiej. Przy tym współpracuje chłopów i dziewcząt wiejskich. Zorganizowanie teatru, świetlicy, biblioteki. Atak księdza, a następnie współdziałanie z nim. Drugi brat (technik) zostaje zawieszony w swoich nadziejach na gospodarce. Wspiera jednak starszego brata. Najmłodszego oddaje do gimnazjum, ale tam wśród szklan chłopaka „spalili”. Powodem tego było to, że gdy syn nauczyciela powiedział do niego „ty chłopska świnią”, ten odpowiedział „świnią z ciebie mięsa nie jada, a ty ze świni jesz”. Wśród walk, borykań samokształcenia w okolicy znać wielki postęp i dorobek, tak że nawet dawniejsi przeciwnicy — dziś uznają pracę młodych szaleńców. W takim to czasie dalsze prace nad podniesieniem wsi polskiej, w walce o jej interes i należne

jej stanowisko w Państwie siłą odebrane i gnębione przez reakcję represjami, następuje wojna 1939.

Wojna przerywa wszystko. Lud rozsypuje się.

Druga część „Tryumf fałszu” (możnaby tytuł zmienić). Organizowanie pracy konspiracyjnej: B. Ch., A. K. Polak poznaje swą siłę i swoją słabość. Nastąpiły wysiedlenia, aresztowania. Chłop nie wierzył, że to, co od praojców odziedziczył, nie może być jego. Rola kościoła w tym czasie. Ucieczka przed Niemcami na tereny wschodnie do Rosjan. Wkrótce i tutaj wkraczają Niemcy. Wtedy to następuje ta sławna szowinistyczna ukraińska walka przeciw Polakom. Pałają się wieś polskie, mordują Polaków w bestialski sposób. Nawet w rodzinie — ojciec Polak, matka Ukraińska i przeciwnie następuje nienawiść i rozbrat. Przywódzą temu księża ukraińscy, którzy z ambon i konfesyjonałów szczują na Polaków. Rodzina Józefa i jego synowie stają się organizatorami oporu. Od Ukraińców listownie otrzymują ostrzeżenia, żeby się wynieśli ze wsi hen — bo są skazani na śmierć, na zabicie w beczkę i puszczanie na wodę.

Chłopcy tym się nie zrażają. Dowożą prasę podziemną, broń z rzutów i kupowaną. Organizują cywilną i wojskową administrację i stają się duszą okolicy. W tym to czasie inteligencja i nauczycielstwo ze wsi wieje. Zostaje tylko chłop i ksiądz Maciej. Młodzi uzbrojeni od stóp do głów. We wsi Ukraińcy zorganizowali w czasie głodu kuchnię dla dzieci ukraińskich. Polskich nie dopuszczono, chociaż ta kuchnia była przy szkole i prowadzona z dotacji samorządowych. Najmłodszy syn Józefa organizuje na spółkę z kolegami kuchnię polską w porozumieniu z delegaturą RGO, choć ta w niczym nie pomaga. Pod firmą tej kuchni płynie życie tajne. Inicjatora tej kuchni aresztuje ukr. policja i zsyła do obozu pracy. W drodze ucieka i zostaje we Lwowie. Uczy się na tajnych kompletach i walczy. Średni syn był wywieziony na roboty do Niemiec, skierowany na przyfrontowe prace. Po umundurowaniu i uzyskaniu urlopu nie wraca i pomimo pościgu Gestapo nie daje się. Staje się postrachem okolicy.

Ciekawy tu stosunek rodziców do synów konspiratorów. Drżą o życie najdroższych im synów, a zarazem cieszą się, że ci taką drogę obrali. Ukraińcy wywieśli we wsi odezwę, wzywającą Polaków do opuszczenia wsi w ciągu 10 dni. Chłopcy wywieśli odezwę do Ukraińców — opuście wieś w ciągu 5 dni. Jak się będzie wieś palić, to do

korzenia. Chłopcy przygotowują materiały wybuchowe, benzynę i naftę. Z frontu dochodzi wieść, że Czerwona Armia idzie wprzód jako sojusznik, ale wieść ta głosi także, że SS Policja pali i niszczy wieś polskie i Polaków. Przygotowuje się obrona. Wieś obstawiona strażą, w środku wsi CKM spod Tobruku. Chłopcy okrażają wieś, by nie dopuścić bandy. Ukraińcy zorganizowani w większej sile są przekonani, że Polacy uzbrojeni po zęby też mają pomoc partyzantki polskiej, wahają się. Nacierają na wieś. Odzywa się CKM i pepeesze. Wśród Ukraińców przekonanie, że to pierwsze patrole sowieckie, zaniechali napadu. Rano wkracza gwardia sowiecka owoacyjnie witana i goszczona przez Polaków. Po ujawnieniu chłopcy idą do Armii Polskiej. Ogłoszono Manifest Lipcowy.

Trzecią część „Zwycięstwo ludu”. Zorganizowany wyjazd na zachód, panowanie demokracji — ale to możnaby skończyć dopiero po wyborach. Chłop już stał się podmiotem, a nie przedmiotem w swoim Państwie. Chłop to gospodarz i inicjatywa twórcza, i miłość do ziemi. Treść możnaby różnie zmieniać. Nie podaję tego projektu za regułę. Podobne wspomnienia sam jednak będę starał się pisać. Podobnych tematów przewija się setki w mózgu. Poca szukać nam tematu bajecznego, kiedy przeżywalimy czasy jak w bajce? Fantazja towarzyszy nam w walce o Polskę. Historyczna powieść jest budująca, naukowa, ale jest przeważnie wymysłem fantazji. W powieści o postępie wsi, o pracy rozpoczętej od orki ugoru do zdobycia sobie pozycji w każdej dziedzinie: sztuki, nauki, polityki, będziemy mieli historię żywą w kolorach tęczy, historię rąbaną twardą dłonią chłopów polskiego.

Wieś nie chce utopii, nie chce ciepłych, naiwnych bohaterów szlacheckiej powieści. Wieś chce realnej powieści z jej życia. Chce mieć obraz tej drogi, którą kroczyła, chce mieć wskazówki na drogę, która ją jeszcze czeka. Wieś nienawidzi powieści, w której autor rozczula się nad nią, woli taką, w której kładzie się nacisk na „jak sobie pościelis, tak się wyśpisz”. Jakaś „bracie raz dostał w skórę przez swoją głupotę, drugi raz unikaj tego na przyszłość”.

Powieść może kończyć się dobrze, albo też tragicznie, zależnie od treści i celu powieści. Powinno się unikać, jak najmniej używać obcych wyrazów, zastępować je swoimi głośnymi i dźwięcznymi. Lubię styl żywy i barwny, jak styl Żeromskiego, który by był piękny i mógł wyrazić głębszą treść. W niektórych wypadkach, jeżeli chodzi o

powieść lżejszą, dobry styl plastyczny Sienkiewicza. Ale musimy wyjść z jednego założenia: skoro narodzi się powieść, styl będzie taki, jakim będzie pisarz. Styl — to charakter pisarza. To jego serce i mózg. Pisać taką powieść może pisarz, który, jeśli nie przeżywał takiej akcji, to obserwował ją dokładnie.

Prócz tego winna ukazać się podobna książka dla dzieci. Dobra byłaby zwłaszcza na wieczory dyskusyjne, towarzyskie zebrań, także książka, będąca zbiorem reportaży, felietonów, różnych migawek, dotyczących wsi i chłopów, albo spraw, które bezpośrednio wieś interesują. Coś krótkiego, a mocnego, jak np. „Błogosławiony chleb ziemi czarnej” Wiktora. Naogół powieści Wiktora pisane są przystępnie dla wsi i zrozumiale, ale za dużo czułości i serca, za mało równowagi między rozumem a uczuciem. Kto ciebie w policzek, to ty go bęc w oba, to jest zasada i samobrona chłopów polskiego.

Nienawidzę w powieści niezaradności i płaczu. Jeśli on jest, musi mieć swoje głębsze źródła i z tego płaczu powinien zrodzić się bunt i zapłata za krywdy.

W powieściach dla wsi trzeba ciągle podkreślać słowiańską wspólnotę, solidarność. Ideę słowiańską dostosować do dzisiejszych potrzeb i wymagań. Tak samo należy podkreślić to, że na gruzach przegranych i zburzonych cywilizacji feudalnych, dyktatorskich, od Babilonu, Rzymu, aż do Niemiec, które były oparte na wyzysku i gnębieniu, rodzi się nowa idea słowiańska, która przed sobą ma olbrzymią i piękną przyszłość, ale wtedy, gdy będzie oparta na sprawiedliwości społecznej, miłości bliźniego. Wtedy, gdy będzie ideą demokratyczną. Bo gdy się spaczy, zboczy z toru, obrze inną drogę obcą naszym słowiańskim ideom, runie tak, jak runęły jej poprzednice. Ta idea zrodzona w nas, musi być pielęgnowana przez nas, zdaleka od obcych wpływów. Bo jak ją zarazi rak, to rad Curie-Skłodowskiej nie pomoże. Od siebie witam z radością ten konkurs, ponieważ choć tak krótko wypowiedziałem to, co uważałem za stosowne. Proponowałbym jeszcze ogłosić konkurs na powieść pisaną przez dół z pominięciem pisarzy zawodowych (nakreślić krótko czego się w niej wymaga), albo choćby pamiętnik z lat ostatnich dziesiętek. Wtedy i Ty kochana Komisjo i całe społeczeństwo dowie się niejednej prawdy. Może to dzisiejszych ludzi odpowiedzialnych za bieg historii będzie razić — ale Prawda zostać musi. Prawda.

Mikołaj Szmigularz

Zbigniew Krawczykowski

CZY W POLSCE BĘDĄ TRAKTORY?

SPRAWA NAJWAŻNIEJSZA
— MECHANIZACJA ROLNICTWA

Niemal w pierwszych miesiącach Polski Odrodzonej, Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych powołało do życia Państwowe Przedsiębiorstwo Traktorów i Maszyn Rolniczych, któremu powierzyło pracę pionierską na polu traktoryzacji i mechanizacji rolnictwa.

Zadanie to ogromnie niewdzięczne. Większość naszych rolników nie miała i nie ma dotychczas zaufania do mechanicznej uprawy roli. Rzecz dziwna, w okresie, kiedy maszyna na każdym kroku stara się zastąpić człowieka, gdy umysł ludzki dokonał szeregu odkryć i epokowych wynalazków, których ukoronowaniem jest dzisiaj dążenie do zastosowania energii atomowej, w dziedzinie rolnictwa istnieje (nie tylko zresztą u nas) wyraźna tendencja do trwania w stanie pierwotnym.

Rolnik polski przekłada uciążliwą, żmudną pracę przy pomocy konia nad nowoczesną mechaniczną obróbką roli traktorem.

Zagadnienie mechanicznej uprawy roli w chwili obecnej nabiera ogromnego znaczenia w skali ogólnie państwowej. Od właściwego rozwiązania tej kwestii zależy szybki rozwój naszego rolnictwa i tak ściśle z nim związanej naszej ogólnej gospodarki narodowej. Dopóki bowiem nie odbudujemy naszego przemysłu, zdevastowanego przez zawieruchę wojenną, rolnictwo pozostanie najważniejszą pozycją w naszym życiu państwowym.

CZEGO SPODZIEWAMY SIĘ
PO PRZEDSIĘBIORSTWIE

W jakim stopniu Przedsiębiorstwo Traktorów i Maszyn Rolniczych wywiązuje się

ze swych zadań, jakimi się może pochlubić osiągnięciami, jakie ma zamiary na najbliższą przyszłość?

Zostało ono powołane do życia z dniem 2 lutego 1945 r. przez Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych. Główne zadania postawione przed Przedsiębiorstwem polegały na:

- obsługiwaniu gospodarstw rolnych przez tworzenie Stacji Traktorów i Maszyn Rolniczych,
- szkolenie obsługi traktorów oraz obsługi maszyn i narzędzi rolniczych,
- zakładanie i tworzenie warsztatów reperyjnych traktorów, maszyn i narzędzi rolniczych,
- prowadzenie badań naukowych nad ulepszeniem maszyn i narzędzi rolniczych.

Pierwsze prace organizacyjne Przedsiębiorstwa prowadzono na terenie województw: Rzeszów, Lublin, Kielce, Warszawa i Białystok. Równocześnie z miejscą rozpoczęto prace polowe ze względu na palące potrzeby naszego rolnictwa. Zaczęto od organizowania placówek, zebrania i przygotowania sprzętu oraz szybkiego szkolenia kadr traktorzystów. Ponieważ sprzęt maszynowy, jakim dysponowało Przedsiębiorstwo w pierwszym okresie swej działalności, w olbrzymiej większości nie nadawał się do użytku. Poza jednym samochodem osobowym, nie było środków lokomocji; brak było materiałów pędnych, niezbędnych do uruchomienia pierwszych traktorów, i, co najważniejsze, brak ludzi obznajmionych z obsługą traktorów i maszyn rolniczych.

Wysyłane w teren brygady zbierały do słowne traktory i samochody po polach, wyszukiwały i odbierały je od niepraw-

nych posiadaczy, poczem przejmowały i zabezpieczały sprzęt. Natychmiast po zebraniu sprzętu przystępowano do remontu, przeprowadzanego częściowo we własnych uruchomionych już warsztatach, częściowo w warsztatach prywatnych. Poważną trudność przy przeprowadzaniu remontu stanowił brak części zapasowych, które musiano zakupywać na wolnym rynku.

Z materiałami pędnymi radzono sobie w ten sposób, że zabezpieczano przede wszystkim materiały pozostałe po okupancie, a następnie nawiązano kontakt z C. P. N. celem otrzymania odpowiednich ilości materiałów pędnych i natychmiastowego rozprowadzenia ich w teren.

Ze względu na brak ludzi przystąpiono niezwłocznie do szkolenia fachowców, uruchamiając 2-tygodniowe kursy dla pracowników obznajmionych już częściowo z pracą przy traktorach. Dla innych, nie mających jeszcze odpowiedniej praktyki lub w ogóle nie posiadających żadnych kwalifikacji technicznych, uruchomione zostały kursy miesięczne. W krótkim okresie czasu przeszkolone zostały kadry nowych pracowników, którzy z całym zapalem wzięli się do roboty.

W ślad za wojskami wypierającymi okupanta z kraju postępowały czołówki organizacyjne P. P. T. i M. R., organizując wszędzie placówki Przedsiębiorstwa i z miejsca zabierając się do pracy. Niejednokrotnie pracowano w strefach przyfrontowych z narażeniem życia. Wielu traktorzystów położyło życie na posterunku, zabici przez miny, wielu było lżej lub ciężiej rannych (por. „Przegląd Traktorowy” nr. 2, podający spis nazwisk tych naszych pierwszych bohaterów mechanizacji rolnictwa).

Od sierpnia 1945 r. Przedsiębiorstwo otrzymywało traktory amerykańskie w ra-

mach dostaw UNRRA. W maju 1945 r. otrzymano 150 sztuk traktorów sowieckich ATZ. Stan liczbowy traktorów szybko wzrastał i doszedł do ilości 139, którymi Przedsiębiorstwo dysponowało w mies. lutym 1945 r. do 10.290 sztuk w mies. lipcu 1945 r. Po odliczeniu od tej sumy traktorów znajdujących się w remoncie — czynnych w polu było 5.193 traktorów.

Do końca roku 45 traktory Przedsiębiorstwa wyorały 653.770 ha w przeliczeniu na orkę średnią. W okresie od 1 stycznia 1946 r. do września tegoż roku wyorano 1.700.843.04 ha. Ogółem od początku istnienia Przedsiębiorstwa do końca września 1946 r. traktory P. P. T. i M. R. wykonały 2.354.613.04 ha. orki średniej.

Cyfry te obrazują wymownie rozwój P. P. T. i M. R., które z przysłowiowego skromnego kopciuszka przeobraziło się w wielkie przedsiębiorstwo, obejmujące swoim zasięgiem całą Polskę.

Obecnie P. P. T. i M. R. posiada 14 oddziałów wojewódzkich, 246 stacji powiatowych oraz 409 warsztatów. Zorganizowano również delegaturę dla spraw UNRRA w Gdańsku oraz delegaturę w Warszawie. Personel Przedsiębiorstwa liczy 20.263 pracowników według danych z końca września b. r.

Naogół więc bilans dotychczasowych prac Przedsiębiorstwa przedstawia się pozytywnie, zwłaszcza, gdy weźmiemy pod uwagę ciężkie warunki, w jakich musiało pracować oraz krótki okres istnienia Przedsiębiorstwa.

W tej chwili ma ono przed sobą jedno z największych zadań, którego spełnienie pozwoli nam ocenić działalność instytucji. W okresie Daniny Narodowej sprawa zagospodarowania Ziemi Zachodnich staje się głównym problemem państwowym, który bez traktorów rozwiązać być nie może. Będzie to wielki egzamin naszej młodej mechanizacji rolniczej.

Wiadysław Blachut

Dookoła sprawy czytelnictwa na wsi

Tak się złożyło, że w Nrze 49 (77) „Wsi” ogłoszono wyniki konkursu na temat: „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś” a równocześnie Piotr Stanisław Ziarnik zamieścił doskonały artykuł p.t. „Jak dostarczyć słowo drukowane na wieś”, przy czym — dodam nawiasem — tytuł artykułu nie odpowiada ciekawie i szeroko zakrojonemu tematowi.

Celem konkursu rozpisane przez Redakcję „Wsi” było — jak przypuszczam — wysondowanie opinii nielicznych konsumentów słowa drukowanego spośród rzesz chłopskich oraz uzyskanie wypowiedzi inteligencji ze wsią związanej lub ze wsi się wywodzącej na temat, jaki rodzaj powieści miałby zapewnić poczytność i powodzenie literackie w tej dziś dla słowa drukowanego obojętnej masie obywateli. W chwili pisania tego artykułu nie znam poszczególnych wypowiedzi uczestników konkursu, ale nie ulega wątpliwości, że wypowiedzi będą ciekawe i wniosom. In. wiele konkretnych materiałów i wniosków dla rozbudowy zaniedbanego czytelnictwa na wsi.

Wydać mi się bowiem, że istota zagadnienia nie leży w sprecyzowaniu upodobań i postulatów przyszłych czytelników wiejskich pod adresem twórców literatury pięknej, popularnej i fachowej, ale w tej chwili ogranicza się do omówienia praktycznych założeń zwiększenia czytelnictwa na wsi, zjednanie konsumentów słowa drukowanego wśród starszego pokolenia i młodzieży chłopskiej. Dlatego też zamieszczenie artykułu ob. P. S. Ziarnika, omawiającego wnikiwie i wyczerpująco przyczyny już nie rozwoju, ale zaniku czytelnictwa na wsi, przed publikowaniem wypowiedzi na temat jakiej powieści chce dzisiejsza wieś, uważam za nadzwyczaj ważne i celowe.

Dla uważnego obserwatora stosunków kulturalnych na wsi problem czytelnictwa wśród chłopów przedstawia się istotnie groźnie i niepokojąco. O ile w okresie międzywojennym można było zaobserwować wśród zorganizowanej społecznie młodzieży wiejskiej duży pęd do oświaty, wyrażający się m. in. czytaniem w różny sposób zdobywanych książek i to nie tylko powieści ale także poezji (zdawało się, że „Pan Tadeusz” jednak zabłądził pod strzechy...) — o tyle obecnie — jak słusznie zauważa ob. P. S. Ziarnik — wskutek demoralizujących wpływów okresu okupacyjnego zainteresowania młodzieży wiejskiej idą w innym, mniej wzniosłym kierunku...

Po pierwszej wojnie światowej, w pierwszym okresie naszej wolności, młodzież wiejska z godnym podkreślenia zapalem rzuciła się na słowo pisane. Książka zachowana w ocalałych bibliotekach wiejskich (czytelnie ludowe itp.) wyproszona u proboszcza, wikarego, nauczyciela (niestety znacznie rzadziej we dworze) lub kolportowana na wieś przez uczącą się w mieście młodzież chłopską, szybko krążyła z rąk do rąk a w okresie jesienno-zimowym nie było prawie domu, gdzie ktoś z członków rodziny w kręgu zakopconej lampy naftowej nie ślecząłby nad książką, kalendarzem lub gazetą. Sam jako dziesięcioletni chłopak, pasając szarpiące się na powrozie po wąskich miedzach krowiny, przeczytałem jednym tchem i bez wyboru całą Trylogię, Robinsona, Don Kichota i wiele innych, nie zawsze zrozumiałych powieści i poematów. A takich młodych „bibliofilów” było w tym czasie na wsi więcej! Dziś młodzież wiejska w wieku szkolnym poza szkołą prawie nie czyta, a zanik czytelnictwa (za wyjątkiem gazet) wśród dorastających i dorosłych jest zjawiskiem notorycznym.

Gdzie szukać przyczyn zjawiska zmniejszającej się konsumpcji słowa drukowanego wśród chłopów? Uważam, że niezależnie od przyczyn opisanych przez ob. P. S. Ziarnika w cytowanym na wstępie artykule, zanik czytelnictwa na wsi jest prostą konsekwencją zaniku książki w środowisku chłopskim. Jest rzeczą stwierdzoną, że książka, która w okresie międzywojennym już zdobywała sobie stałe miejsce w chłopskiej chacie, a nadto znajdowała schronienie i opiekę w środowisku inteligentnym na wsi, dziś stała się na wsi białym krukiem a już bardzo nieśmiało i z ociąganiem się zagląda pod chłopską strzechę. Niszczył ją

systematycznie okupant, chronił w nieodpowiednim miejscu lub wywoził do miasta inteligent wiejski a wreszcie upływ czasu robił swoje. Jedynie biblioteki dworskie zachowały się częściowo do końca okupacji i niezmiernie żałować należy, że i one w rozwoju wypadków wojennych oraz przemian społecznych na wsi w większości wypadków straciły swą świetną choć prawie wyłącznie szlachecką egzystencję.

W chaosie idących przez wieś wydarzeń, chłop wyrównywał swe wiekowe krzywdy na pańskim przez podział ziemi dworskiej oraz inwentarza żywego. O książce jakoś zapomniał i tym samym skazał ją na zagładę.

Po opuszczonej sięgnął element niepowołany dla celów dalekich od jej właściwego przeznaczenia, część wywoził do miasta dawny właściciel majątku lub przygodny szabrownik.

Toteż dziś księgozbiory publiczne na wsi świecą pustkami a nieliczne biblioteczki prywatne ruchowej na wieś inteligencji z powodu drożyzny książek są pieczołowicie trzymane w ukryciu, dla własnych potrzeb czy przyjemności i nie znajdują drogi na budzącą się do życia wieś.

W tej sytuacji odbudowa zanikającego na wsi czytelnictwa bez rychłej interwencji czynników odpowiedzialnych za rozwój kultury wsi byłaby rzeczą nader trudną i musiała być rozłożona na długie lata.

Pomoc i interwencja czynników publicznych w procesach odrodzenia i rozwoju czytelnictwa na wsi wymagać się najlepiej przez rychłe i obfite dostarczenie odpowiedniej i przystępnej (o ile możliwości — jakże znowu słusznie zauważa ob. Z. — nie tendencyjnej i propagandowej) literatury na wieś oraz przez stworzenie stałych ośrodków czytelnictwa na wsi.

Do tych samych konkluzji dochodzi autor cytowanego przeze mnie na wstępie artykułu. Ponieważ jednak ob. Z. lojalnie przyznaje, że nie wie, jak wyglądają plany biblioteczne i sieć projektowanych bibliotek pragnę tę lukę w jego artykule wypełnić i przedstawić pokrótce rządowe poczynania a raczej plany w tym przedmiocie.

Otóż z dniem 18 czerwca 1946 r. wszedł w życie, a więc obowiązuje, Dekret (z mocą ustawy) Prezydium Krajowej Rady Narodowej z dnia 17 kwietnia 1946 r. o bibliotekach i opiece nad zbiorami bibliotecznymi (v. Dz. U. R. P. Nr 26, poz. 163).

W myśl tego Dekretu biblioteki i zbiory biblioteczne będące własnością lub znajdujące się w posiadaniu obywateli polskich uznaje się — jakże słusznie — za narodowe mienie kulturalne, powołane do służenia dobru ogólnemu. Celem prowadzenia w społeczeństwie jednolitej działalności kulturalnej za pomocą książki i biblioteki oraz umożliwienia każdemu obywatelowi korzystania ze zbiorów bibliotecznych całego kraju Dekret przewiduje w art. 2 utworzenie ogólnokrajowej sieci bibliotek publicznych, utrzymywanych przez Państwo lub inne związki publiczno-prawne. Dekret w trosce o rozwój kulturalny jak najszerzych warstw Narodu, idzie tak daleko, że przewiduje włączenie do sieci bibliotek publicznych również zbiorów i bibliotek prywatnych i to nawet bez zgody

ich właścicieli choć za odpowiednią odpłatą. Biblioteki włączane do sieci bibliotek publicznych mają służyć dobru i pożytkowi publicznemu, a to przez gromadzenie, zabezpieczenie i udostępnienie swych zbiorów bezpośrednio lub drogą między bibliotecznego wypożyczania (rodzaj bibliotek wędrownych).

Naczelną nadzór i opiekę nad bibliotekami ma sprawować Minister Oświaty, który też ma wydać przepisy wykonawcze w tym kierunku, ale jak dotąd jeszcze ich niestety — nie wydał. Organem doradczym a równocześnie reprezentacją czynnika społecznego przy Ministrze Oświaty ma być Państwowa Rada Biblioteczna, której odpowiednikiem w terenie mają być wojewódzkie, powiatowe i gminne (wiejskie i miejskie) komitety biblieczne przy wojewódzkich, powiatowych, i miejskich radach narodowych.

Interesujące wieś gminne komitety biblieczne mają być powoływane przez Gminne Rady Narodowe na wniosek inspektora szkolnego spośród:

- a) miejscowych stowarzyszeń oświatowych (o ile takie na wsi istnieją),
- b) miejscowych organizacji zawodowych nauczycielskich,
- c) przedstawicieli bibliotek działających na terenie gminy wiejskiej (zwykle ich nie ma!),
- d) miejscowych organizacji rolniczych.

Do zakresu tych komitetów należy:

- 1) opiekowanie się bibliotekami powszechnymi i szkolnymi oraz — co nas najwięcej interesuje — rozwojem czytelnictwa na terenie gminy,
- 2) harmonizowanie działalności bibliotek! (w liczbie mnogiej, kiedyś dojdziemy do tego na wsi!) i dbanie o zaspokojenie potrzeb społeczeństwa w zakresie słowa drukowanego,
- 3) opiniowanie budżetu na potrzeby bibliotek i czytelnictwa na terenie gminy.

Te zadania i obowiązki wiejskich komitetów bibliecznych są — jak widać — zakrojone szeroko i mają odpowiadać istotnym potrzebom dzisiejszej wsi.

Działalność komitetów bibliecznych, będzie przejawiać się na zewnątrz przez sieć bibliotek publicznych. Ustawa biblioteczna przewiduje trzy rodzaje bibliotek a mianowicie: biblioteki szkolne, powszechne i naukowe. Interesujące najbardziej wieś biblioteki powszechne mają w myśl postanowień Dekretu służyć czytelnictwu w najszerzym zakresie, wychowaniu społecznemu, kształceniu ogólnemu i zawodowemu oraz kulturalnej rozrywce wszystkich obywateli, zamieszkających na terenie gminy czy gromady. Dla wykonywania tych zadań każda wiejska biblioteka powszechna powinna posiadać księgozbiór dla dorosłych, odrębny (jakże daleka przed nami droga...) księgozbiór dla młodzieży i dzieci oraz czytelnię zaopatrzoną w czasopisma bieżące!

Między poszczególnymi bibliotekami winna panować ścisła współpraca a w szczególności biblioteki wyższego rzędu mają

zasilać biblioteki wiejskie w księgozbiory i wydawnictwa (wymiana książek i wydawnictw) a także gromadzić dokumenty piśmiennictwa ludowego z dawnego terenu.

Do zakładania i utrzymywania publicznych bibliotek powszechnych obowiązane są właściwe związki samorządowe, przy czym istniejąca samorządowa biblioteka publiczna może być zawieszona w swej działalności lub zwinięta jedynie za zgodą Ministra Oświaty, powziętą w porozumieniu z Ministrem Administracji Publicznej. Coroczne świadczenia Państwa na rzecz samorządowych bibliotek publicznych mają wynosić co najmniej (oby znacznie więcej) 25 proc. łącznych rocznych wydatków wszystkich związków samorządowych, poniesionych na zakładanie i utrzymywanie bibliotek publicznych w kraju.

Do czasu zorganizowania pełnej sieci bibliotek publicznych funkcje tych bibliotek mają spełniać na zarządzenie Ministra Oświaty, przystosowane do tego celu biblioteki szkolne (niestety na wsi i takich nie ma) przede wszystkim przez udostępnienie swoich księgozbiorów wszystkim obywatelom danego terenu. Z tych samych względów Minister Oświaty może włączyć czasowo do sieci bibliotek publicznych również istniejące już biblioteki społeczne lub prywatne. Szczególnie ważnym jest to końcowe postanowienie Dekretu o bibliotekach, które mówi, że do czasu zapewnienia związkom samorządowym dostatecznych własnych źródeł dochodowych wydatki na zakładanie nowych bibliotek samorządowych oraz ich utrzymanie pokrywać będzie Skarb Państwa w formie specjalnej dotacji dla tych związków.

Tyle mówi Dekret o bibliotekach. Jest on — jak widzimy — opracowany szeroko i wyczerpująco, ale — o ile chodzi o wieś — pozostaje on jeszcze dotąd w sferze papierowych projektów.

Nie wiem czy związki samorządowe otrzymują już przewidziane (w art. 15 ust. 4) dotacje ze Skarbu Państwa na zakładanie i utrzymywanie wiejskich bibliotek, ale mogę stwierdzić jedno, że książka trzyma się jeszcze zdala od rejonów wiejskich a istniejące (jakże rzadko) szafy biblioteczne w domach ludowych na wsi świecą pustkami lub służą za podręczne bufety i przechowalnie napojów wysokokochanych przy okazji zwykle zanadto mokrych zabaw i uroczystości ludowych na wsi. W dzisiejszej sytuacji żaden słowa drukowanego mieszkaniowiec wsi musi — o ile go nie stać kupić własnej książki — prosić księdza lub nauczyciela o pozwolenie korzystania z ich skromnych i dlatego jakże poczytnych księgozbiorów! Kto z tej drogi nie chce korzystać (a na wsi ambicje są wybujałe) ten musi zapomnieć o książce i ograniczyć się w najlepszym razie do lektury wędrującej na wieś prasy ludowej, której poziom, niestety, tak dużo pozostawia do życzenia. Tymczasem nawet w naszym położeniu wiele można by zdziałać w przedmiocie ożywienia czytelnictwa na odcinku wiejskim. Przede wszystkim w opustoszałych lub nienależycie wykorzystanych dworach można by znaleźć odpowiednie pomieszczenie dla bibliotek wiejskich i czytelni ludowych. Równocześnie już dziś dałoby się skompletować na wsi skromne księgozbiory z książek znajdujących się w posiadaniu poszczególnych mieszkańców wsi a także drogą ofiar inteligencji ze wsią dziś związanej lub ze wsi się wywodzącej. Nie ulega wreszcie wątpliwości, że i sam chłop nie poskąpiłby na ten cel grosza.

Chodziłoby jedynie o to, aby wreszcie inicjatywę pod tym względem wziął w swe ręce Rząd i zgodnie z założeniami omówionego tu przeze mnie pokrótce Dekretu przystąpił do organizacji sieci bibliotek publicznych na terenie całego Państwa. Przede wszystkim chodzi tu o zagwarantowaną ustawowo pomoc finansową, bo bez pieniędzy nic nie da się zrobić.

Jestem pewny, że gdy znajdą się pieniądze na ten cel i biblioteki powszechne rozpoczną na wsi swą działalność, słowo drukowane szybko znajdzie wśród chłopów, zwłaszcza wśród młodzieży wiejskiej, opuszczającej szkołę powszechną, wdzierających konsumentów a książka zawędruje wreszcie pod chłopską strzechę.

Bronisław Majtczak

Na wyrobku

Jak wichrem pogięte drzewa nad polem
stopami w ziemię wrosli i pracą.
Wczesnego świtania witają fioleto
ostrzami motylek, nożem kopaczek.

By strząsnąć pot z karku i ziemi popiół
stają na chwilę, prostują grzbiety,
a potem — znów dalej kopią i kopią...
za żur w dwojakach, za pajdę biedy.

Gromadnie stanęli w zagonach cudzych
jedyni ludzie polnej roboty —
Obdarci dworacy, farnale, słudzy,
bunt dzierżą w dloniach, na drzewcach motyk...

Na anioł pański gdzieś dzwonią kościoły,
pola skopane chłód dnia przenika —
a oni wciąż kopią... Spoczone czoła
zmierzch im ociera mgłą października.

Teodor Goździkiewicz

Książki o walkach na obczyźnie

Arkady Fiedler: „Dywizjon 303” — „Dziękuję ci, kapitanie” (Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Kraków 1946); Kazimierz Koźniewski: „Szczotka do butów”, reportaż-powieść; Janusz Meissner: „Żądło Genowefy” — „L jak Lucy” (Księgarnia Wydawnicza AWIR, Katowice, 1946); Ksawery Pruszyński: „Droga wiodła przez Narvik” (Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza”, Warszawa).

Naszą tragedią dziejową od kilku stuleci jest to, że w dziedzinie zbrojnej gotowości narodu jesteśmy stale zapóźnieni. Cwiczyliśmy wojsko zaciężym przeciwnika mogliśmy przeciwstawić zbieraninę pospolitego ruszenia. Armii stałej uzbrojonej jednolicie w karabiny — barwną kawalerię w półpancerzach i przy szablach. W roku 1939 byliśmy uzbrojeni na modłę anno domini 1914.

Taki stan rzeczy trwał w dziedzinie materialnej. Nierównie bardziej zapóźnieni byliśmy w dziedzinie moralnej. Walkę zawsze braliśmy jako pochodną od czasownika walczyć, a nie walić. Stąd to podejście do wojny cokolwiek rycerskie, cokolwiek romantyczne — ciągle niepraktyczne i niepraktykowane. Marzył nam się front, walka pozycyjna opukiwana z karabinów i dział, tudzież zagony kawalerystyczne à la Kmicic na głębokie tyły nieprzyjaciela.

Tymczasem zdarzenia w wrześniu 1939 nie były wojną, ani walką — były masakrą wojska, państwa, narodu, o potem nadeszła makabryczna noc okupacji, konspiracji, łapanek, obozów, rozstrzeliwań, głodu i luksusu, egoizmu i poświęcenia, bestialstwa, świństwa i bohaterstwa. Wszystko to zastało nas nieprzygotowanych, oszołomionych, sterroryzowanych, niewierzących nawet w to, co było oczywiste, albowiem był to koszmarnie nieprawdopodobny.

Na tym tle również nieprawdopodobne wydały nam się wszelkie wieści nadchodzące z dalekiego świata drogą tajemną (szmatławce i gadzinówki nigdy o tym konsekwentnie nie pisały, pierwszy raz wymieniono nazwisko Sikorskiego po jego tragicznej śmierci) o oddziałach polskiego wojska walczących w wielu miejscach globu na lądzie, morzu i powietrzu przy boku aliantów wojsk.

Nie wierzyło się w to — właściwie niedowierzano — się potrochu kładąc wiele na karb wybujałej propagandy mającej służyć „pokrzepieniu serc”. Czyżby to było bowiem możliwe, żeby gdzieś żołnierz polski mógł przeciwstawić szybkiemu i kłasiwemu samolotowi równie kłasiwy i szybki samolot, opancerzonemu czołgowi czołg opancerzony, uzbrojonemu okrętowi — okręt?

Bo że odwagę i poświęcenie miał, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Wszak i tu chłopiec w biały dzień z pistoletem w ręku wypełniał ciężkie zadanie bojowca na oczach wojska, żandarmerii i policji.

To nieprawdopodobieństwo owych zjawisk, ta niewiara w rzekomo odbywające się daleko wypadki sprawiły, że bezpośrednie świadectwo owych walk — Arkadego Fiedlera „Dywizjon 303” czytany był nie jak zwyczajna książka napisana na pewien temat, ale jak ewangelia, książka niosąca dobrą nowinę. Wartość jej była poza dokumentem, poza treścią i poza formą. Wartość „Dywizjonu 303” wkraczała w dziedzinę mistyki. Można by tu na tym miejscu wpaść w patos i wygłosić cały szereg podniosłych zdań i nie uważać tego za coś, co może razić.

W moje ręce „Dywizjon 303” dostał się gdzieś w roku 1943 (bodajże?) zamaskowany sprytnie nazwiskiem Marii Karczewskiej, tytułem o chowie kur czy uprawie warzyw, kilkoma kartkami obojętnej treści, a potem dopiero czytamy się opowieści o walkach, zwycięstwach — lotach i trudach.

Okazało się, że w sferach powietrznych nad łądem czy wodą wolnego kraju Anglii nasz walczący lotnik przeciwstawiał kamieniemu poczuciu ponurego obowiązku Niemca, radosną pogardę śmierci i mściwą pasję żołnierza zełżonego narodu.

Obecne nowe wydanie „Dywizjonu 303” leżące przede mną jest już nie tym samym zjawiskiem, nie tym samym zdarzeniem. Jest to książka zawierająca kilkanaście świetnych reportaży i opowiadań z walk lotniczych o Anglię w 1940 roku. I nie więcej. Fotografie ją formalnie i treściowo bogactwa, przemijają radością odkryte pseudonimy, kryptonimy i cała ta nomenklatura półspiskowa, za którą się chowali poszczególni lotnicy, ale to już nie to samo, co owa drobny i czcionkami drukowana i czytana na strychu z biciem serca i łąką w oku roku pańskiego 1943.

Kiedy się myśli, mówi czy pisze o moździerzu i jego sprawach staje mimowolnie w świadomości obrzydliwa postać nieśmiertelnego żeglarza — nie, wszystko to co dziś moglibyśmy nazwać kompleksem Conrada. Człowiek i morze. Morze — zmienne i wieczne to samo. Człowiek niby jego niewolnik i pan, sługa i zwycięzca i to zwycięzca zdruzgotany przez nie wtedy, kiedy uświadomił sobie swoje nad nim panowanie.

W zbiorze kilkunastu opowiadań zatytułowanych „Dziękuję ci, kapitanie” Arkady

Fiedler wystąpił w nowej roli — marynisty. W swoich wynurzeniach pisarskich zostawia ślady, iż zdaje sobie sprawę z tego, że operuje w cieniu Conradowskiego dorobku. Wszędzie tam, gdzie schodzi z płaszczyzny notowania faktów zewnętrznych a usiłuje sięgnąć do zdarzeń, któreby można nazwać filozofią współzycia morza z człowiekiem — zawsze lojalnie przyznaje się do wielkiego patrona: „Była w tym wielka bezbronność, beznadziejność i okrucieństwo losu i czasem miało się wrażenie, jak gdyby zmarły wstąpił któryś z tragicznych bohaterów Conrada i żywy obnosił swą dolę po świecie” (str. 11). „...wielki pisarz i żeglarz, Słowianin, oddający morzu od nowa odwieczną jego duszę, Józef Conrad Korzeniowski, stał się jakby objawieniem” (str. 88). „...Kiedyś Conrad powiedział, że statki mają zawsze słusność, a ludzie nie zawsze” (str. 140).

Fragmetyczny ten został przytoczony nie w celu czynienia jakichś paraleli czy wynajdywania pokrewieństw, ile raczej na dowód, że ktokolwiek pisze dziś o morzu, zawsze natknął się na Conrada. Opowiadania zawierają rejestr czynów marynarzy polskich, którzy rzuceni na burzliwe wody oceanu Atlantyckiego, ujawniają wspaniałą postawę bojowców.

Książka posiada wszystkie cechy pisarskie Fiedlera. Gładkość stylu i prostotę środków wyświelenia. Z tym wszystkim właśnie stanowi miłą „krzepiącą” lekturę.

Powieść Kazimierza Koźniewskiego — „Szczotka do butów” już jak sam charakter tytułu wskazuje jest książką napisaną w kpiarsko-groteskowym, a według treści w awanturistyczno-patriotycznym tonie. Autor przez cały ciąg powieści utrzymywał się na tym poziomie konsekwentnie, szczęśliwie uniknął płaczliwości, kasznowidzstwa i taniej deklamacji, dając pracę w swoim rodzaju ciekawą. Prawdziwie „przekrojową”.

Wszystko w tej książce jest względne, narzucone śmieszny zbiegiem okoliczności, w partiach poważnych samych przez się przedstawione od strony groteskowej. Jest to heroizm odbarwiony z nimbu, groza tragicznych zdarzeń podana na wesoło. Bohater utworu, warszawiak, zaplątany przypadkowo w ulicznej strzelaninie między konspiracyjnych bojowców, ucieka z kraju w początkach okupacji i dzieli trudy i przygody tych wszystkich naszych żołnierzy walczących na obczyźnie.

Przejmując od towarzysza ucieczki szczotkę do butów jest przekonany, iż w szczotce tej zawarte jest coś, jakiś konspiracyjny talizman. Pilnuje więc jej jak oka w głowie przez cały ciąg wszystkich swoich niewiarogodnych przygód. Cały ten wysiłek po to był jednak przedsięwzięty, żeby się w końcu przekonać, iż rzekomo ważna szczotka do butów jest najwyżej najszerszą szczotką i nie zawiera w sobie nic a nic zgola. Wszystkie więc jego wysiłki, trudy i przygody i gra ze śmiercią o życie były jakimś okrutnym żartem, głupim nieporozumieniem. Jego bohaterstwo wysiłki były przedsięwzięciem dokonanym w imię uludnych i urojonych celów. Czy nie jest to symbolicznym wykipieniem naszych walk w świecie wogóle?

Tej rzeczy można się najwyżej domyślać. Natomiast w innej sprawie symbolizm autora powieści jest przez samego niego należyście wyjaśniony. Oto równorzędnym do dzieł bohatera głównego Koźniewski kreśli dzieje volksdeutscha, niemieckiego szpicla rodem z poznańskiego. Szpieg ten w każdej nowej miejscowości przybiera nowe nazwisko. Tymczasem „...prawdziwe jego nazwisko było znacznie wybitniejsze od jego osoby. Linia łącząca wielkiego pradziada z niewielkim prawnikiem — była linią degrengolady Niemiec, była symbolem rozmielenia, wielkiej wartości na podłe walory. Była historią Niemiec ostat nich dwóch stuleci. Mój przyjaciel bowiem na chrzcie świętym otrzymał dwa imiona: Johann Wolfgang. Nazwisko rodowe brzmiało — Goethe. Major Johann Wolfgang Goethe”.

W dwóch powieściach lotniczych: „Żądło Genowefy” i „L jak Lucy” Janusz Meissner zawarł dzieje naszych rycerzy przestworza na wolnej ziemi brytyjskiej. Tak się zdawało, że kto, jak kto, ale Meissner przedewszystkiem jest predestynowany do kroniki lotniczej z tej wojny.

On właśnie, który podbił serca młodzieży i szerokiej czytającej publiczności swymi pracami przed wojną, był powołany do tego zadania sub specie artis. Oczekiwań tych Meissner nie zawiodł. Dał nam dwie książki ciekawe w swoim guście, zawierające w treści sumę tych samych co i poprzednie walorów: gładką narrację, lekkie słowo i zajmującą treść.

W tym stanie rzeczy niespodzianką był właśnie konkurencyjny „Dywizjon 303” Arkadego Fiedlera. Nam tu pod okupacją, niewiadomym co się dzieje z jednym czy z drugim pisarzem, dziwnym się to wydało, że o naszych lotnikach na zachodzie nie pisze Meissner lecz Fiedler. Skłonni byliśmy przypuszczać, że coś się stało, coś się musiało Meissnerowi przygodzić. O to przecież nie było trudno.

Jedno drugiemu jednak nie przeszkadza — dziś mając te dwie rzeczy przed sobą możemy orzec. Fiedler w swoich reportażach przedstawia męski obowiązek walki bohaterów — powieść Meissnera raczej brawurowe wyczyny sportowców wprzagniętych w walkę o kraj.

Te dwa aspekty jednego zasadniczo zagadnienia — przygód lotników polskich na zachodzie — dają obu książkom różne barwy oraz inny klimat podyktowany osobowością pisarza.

Ktoś powiedział, że wojna jest najlepszym nauczycielem geografii. To prawda — głuche niesłychanie kąty, nieznane ziemskie dziury, o których wprawdzie do podręcznika, żeby je potem wpechnąć do głowy uczniów, nie służyło się żadnemu, najbardziej pedantyczne mu belfrowi geografii — utwierdzają się w pamięci człowieka raz na zawsze.

Jeszcze świeżo w pamięci siedziały Verdun, Bolimów czy Ypres z tamtej wojny, a już przysłyły nowe: Narvik, Tobruk, El Alamein.

I kto by pomyślał, że tam, gdzie dotychczas śledziły tylko wyprawowały miłosne harce lub brudny tuareg zbierał bobki wielbłądzie na ogień — tam dotknę się ziemi swoim palcem Historią? Tak się jednak stało i na to nie ma rady. Wielkość zdarzeń chodzi — jak kot z książki Kiplinga — własnym po świecie drogami.

Osnuta na tle walk Anglików z Niemcami w Norwegii powieść Ksawerego Pruszyńskiego pt. „Droga wiodła przez Narvik” jest rejestrem wkładu bojowego polskiego korpusu współdziałającego z armią angielską w ogólnych ramach operacyjnych. Bohaterem tego opowiadania jest właśnie owa grupa żołnierska Polaków, a jej dzieje fabułą książki.

Ktoś może zapytać, dlaczego Narvik? Otóż ład wydłużonej Norwegii w tym miejscu jest najwyższy. Tuż zaraz poza granicą w Szwecji leżą bogate złoża wysokowartościowej rudy żelaznej (magnetytu). Elektryczne koleje tunełami przewoziły ją wprost do portu narwickiego, a stąd szła ona do hut i walcowni niemieckich, gdzie wyrabiano płyty pancernne do wszelkich pancerników, czołgów i samolotów.

Anglii to nie mogło być obojętne, kiedy Niemcy zabrali w kwietniu 1940 Norwegię i stąd ekspedycja. Akcja kończy się zdobyciem Narviku i wysadzeniem w powietrze tunełów kolei.

W powieści tej są wyraźne momenty, gdzie Pruszyński publicysta bierze wyraźną górę nad Pruszyńskim powieściopisarzem. Kompozycja powieści jest swobodna. Są miejsca, gdzie Pruszyński posługuje się zwykłą tradycyjną relacją. W innych rozdziałach przytacza fragmenty pamiętnika. Gdzie indziej punkt ciężkości zdarzeń przenosi na osoby trzecie. Są też przytaczane meldunki sytuacyjne dowódców. Ta dowolność techniczna — kompozycyjna czyni książkę barwną i zajmującą, jeśli pominąć te dłużyzny publicystyczne, włożone w dialogi i będące najsłabszymi punktami powieści.

Byłby one bardziej na miejscu w tymże pamiętniku, który jako forma wypowiedzi zezwala na najsłabsze dyscypliny refleksyjne — po cóż zaraz stracony lotnik niemiecki, po co szpital, po co nieprzekonywujące spotkanie dwu kolegów z jednej szkoły w Grenobli? Wymieniają oni między sobą barczo interesujące uwagi, ale przez ich wielkość formalna równowaga powieści jest zwichnięta.

Poza tym książka jest emocjonująca, miła i warta czytania.

Głównym tenorem tych wszystkich książek jest — poprzez zobrazowanie walk w różnych miejscach i czasie — przekonać polskiego czytelnika zgnębnego niedawną okupacją, że tam gdzie mogliśmy nieprzyjacielowi przeciwstawić równorzędną siłę środków technicznych, tam równaliśmy się z nim walorami ducha, a nawet w zestawieniu jednostkowym — górowaliśmy bardzo często.

Drugą cechą rzucającą się w oczy z literackiego ściśle punktu widzenia jest bezsprzeczny dokumentaryzm tych książek. Jest to zupełnie usprawiedliwione i zrozumiałe. Przeciwnie, w tej wojnie ludzi były tak fantastyczne, tak frapujące, że wszelką wymyślność pisarską była pobita na łeb na szyję. Po co więc karmić czytelników wymyślonymi bzdurami — wystarczył powtórzyć tylko to, co wiele jednostek przeżyło, a już będzie mieli porywającą powieść.

Ów dokumentaryzm czy autentyzm jest dziś świadomym patentem powstania książki. Każdy z autorów opatruje swoją pracę wyłączoną specjalnie uwagę, jakby ona być miała właśnie usprawiedliwieniem jej powstania: Fiedler — „Duch wypadków, opisanych w niniejszej książce, jest prawdziwy, natomiast osoby i statki są zmienione”. Koźniewski: „każda z markowych przygód jest albo zupełnie prawdziwa albo złożona z prawdziwych elementów... część tych przygód doświadczyłem na własnej skórze”. I t.p.

Jeżeli najwyższym miernikiem i wzorem realizmu jest proste życie, to ono właśnie stanowiło i dostarczało argumentu, że kto trudno i dobrze przeżył dzień, jest upoważniony i może „napisać księgę”.

List do Redakcji

Do
Redakcji Tygodnika „WIEŚ”

Łódź — Polska.

Szanowni Druhowie!

Przeczytałem z wielkim zainteresowaniem kilka starych numerów WSI, jakie się tu przedostały w tym roku dzięki zaistalowaniu w Brazylii placówek dyplomatycznych R. J. N. Z kierunku pisma i nazwisk autorów wnosiłem, że WIEŚ jest wskrzeszeniem w nowej postaci i na szerszej platformie dawnego wydawnictwa „Wsi — jej pieśni”. Gdyby tak było, to nie potrzebowałbym osobno się prezentować, gdyż Koledzy z dawnego stowarzyszenia pisarzy i poetów lud, znając moje nazwisko. Przed wojną korespondowałem ze ś. p. Jankiem z Bugaja — a poza tym jesteśmy tu blisko z Wojciechem Breowiczem, który był współzałożycielem „Wsi — jej pieśni” zanim wyjechał do Brazylii.

Osobiście nie znam żadnego z Kolegów przebywających w Kraju, gdyż wyjechałem z Polski jeszcze w 1923-cim roku jako redaktor „Przyjaciela Ludu” z Krakowa i od tamtej pory ani razu nie byłem w Kraju. Niektóre moje książki wydane dawno na emigracji w Stanach i w Ameryce Południowej trafiły przed wojną do biblioteki Związku w Naprawie. W Polsce nie drukowałem niczego przed wojną, gdyż dla prac wychodzących ludowych nie było wówczas miejsca na półkach księgarskich w Kraju, ani poparcia ze strony czynników oficjalnych. Liczyłem się z członka Związku przedwojennego, dopóki on istniał, co zresztą trwało dosyć krótko.

W czasie wojny napisałem kilka książek, przeważnie treści politycznej, które sprzedałem „Ameryce — Echo”, ale zanim zdążyły się ukazać w druku, wydawnictwo to przeszło w ręce redakcji uchodźczej w Stanach — i wydanie ich nie doszło do skutku. Jeden maszynopis pracy etycznej — filozoficznej p. t. „Magia w życiu codziennym” zabrał do Londynu kol. Arkady Fiedler (który ostatnio powrócił do Kraju) — lecz tam jej nie wydał, bo treść nie była mile widziana przez sferę klerkalno-konserwatywną. Obiecywałem sobie, że powrotem do Kraju, do którego się sposobie, — wydać zbiór egzotycznych nowel ludowych z życia emigracji w Ameryce Południowej. p. t. „Baśń puszcz podzwrotnikowej” — ale będzie trudno pozbierać w całość, jako że przeważnie były drukowane w „Amer. Echo” na przestrzeni lat dwudziestu. Mam natomiast na ukończeniu książkę większych rozmiarów „Po tamtej stronie równika” — wspomnienia z ubiegłego ćwierćwiecza dzieł emigracji ludowej w Ameryce Południowej. Tę chciałbym wydać z ilustracjami, za powrotem do Kraju.

Powinno by się też wydać w Polsce obecnie zbiór wierszy emigracyjnych W. Breowicza, uzupełniony tymi, które napisał podczas pobytu w Anglii, jako ochotnik W. P. z Brazylii.

Co do mnie, chcę wrócić do Ojczyzny po blisko ćwierćwiekowej tułaczce, aby dopomóc Polsce Ludowej do przeprowadzenia reemigracji chłopów — robotniczej z tego terenu i popracować, póki sił starczy, na niwie społeczno-literackiej w Kraju. Być może, wniosę do twórczości ludowej nowy element, jakim byłaby egzotyka chłopska w literaturze, — zjawisko powstałe na emigracji w gorących krajach i bardzo mało znane czytelnikom w Polsce. Mam nadzieję, że mnie przyimiecie również szczerym sercem, jak mnie kiedyś przyjmował do swych szczupłych szeregów związek zgrupowany przy „Wsi — jej pieśni”.

Łączę serdeczne, ludowe pozdrowienia!

WŁADYSŁAW WÓJCİK

17.12.46. Curitiba — Parana — Brasil

SPROSTOWANIA

W pracy drukarskiej niesposób jest uniknąć błędów zupełnie, ale najczęściej są to drobniejsze omyłki, nad którymi przechodzi się do porządku dziennego. W numerze jednak 1 (80) z dnia 5 stycznia 1947 r. błędy są tak znaczne, że zmuszeni jesteśmy niektóre z nich sprostować.

I tak: na stronie pierwszej w „Trzej królowie” G. K. Chestertona w wierszu drugim trzeciej zwrotki powinno być:

„Droga tak prosta, że mógłbyś się zminić”; na stronie trzeciej w „Od pasenia krów do Chestertona” Zygmunta Jakimiaka zakończenie każdej zwrotki winno brzmieć:

„Nie dbam wcale o wodę, byle nie było jej

[w winie];

na stronie trzeciej w „Bylinie o zagładzie bohaterów” w kolumnie środkowej zamiast pierwszego wiersza wydrukowanego podwójnie powinno być:

„Jak nie zbiegną się na ten zew wiciądzę, Jak nie skoczą na siłę bisurmańską”.

W artykule Tadeusza Chrościelewskiego „Od tłumacza” w pierwszej kolumnie 10 wiersz od góry opuszczono wyraz „znakomity” znawca kultury ludowej profesor Julian Krzyżanowski;

w drugiej kolumnie, wiersz 27 opuszczono „twierdzi, że mamy tu do czynienia z dalekimi” itd;

w trzeciej kolumnie, 20 wiersz opuszczono „w jego szarym rybakim i rolniczym życiu nie zdarzają się „cuda, cudowiska”. Trzeba więc” itd.;

Na stronie 9 nazwisko autora artykułu „Literatura pod strzechą” brzmi Jan Marzałek.

FAKTY i ZDANIA

„ZJAZD DEMOKRATYZACJI”

W dniach 4 i 5 stycznia b. r. odbył się w Warszawie ogólnokrajowy zjazd „Wici”. Prasa nazwała go „zjazdem demokratyzacji” „Wici”. Od dłuższego czasu obserwowaliśmy w tej najpotężniejszej organizacji młodzieży wiejskiej pewien ferment. Po twórczym okresie lubelskim, mimo oficjalnie głoszonej apolityczności, „Wici” stopniowo przechodzą pod wpływ działaczy prawicowych. „Wiś” niejednokrotnie podkreślała w wypowiedziach swych publicystów wątpliwe założenia ideologiczne sugerowane przez obecny Zarząd szerokiej rzeszy wiciowców. Dość wspomnieć o owych dziwnych i niepokojących mistycyzmach, o jakiejś wspólnotce i pobratymstwie słowiańskim, opartym na „sile” miłości, i „świętym ogniu” łączącym wszystkie słowiańskie narody przy jednoczesnym zapoznawaniu innych wiewiór, bardziej mocnych, a mianowicie wiewiór wspólnych interesów i wspólnych celów. Znamy bardzo dobrze te wszystkie teorie, według których pewna kombinacja właściwości fizycznych i moralnych stanowić ma o jedności i wyższości pewnej rasy nad innymi. I wiemy nad jaką przepaść doprowadzić mogą ludność podobne idee.

Ruch wiciowy ma poza sobą bardzo piękną i chlubną tradycję walki o postęp i demokrację. Z szeregów wiciowców pochodzili najwięksi bojownicy chłopscy. Gościli ich mury Brześcia, Berezy, a później Oświęcimia, Trebłinki. Młodzież chłopska chce nawiązać spowrotem do pięknej tradycji radykalizmu wiciowego. Wyrazem tego dążenia był zjazd 176 starych działaczy wiciowych, który zakończył się wydaniami znanej odezwy do młodzieży chłopskiej, wzywającej ją na zjazd do Warszawy. Celem tego zjazdu nie jest, jak mówi Komunikat Komitetu Zjazdu, „ani dążenie do rozbicia organizacji, czy tworzenia nowego związku, ani też, jak to się u pewnych kół sugeruje, osiągnięcie jakichkolwiek celów przedwyborczych. Chodzi jedynie o przeprowadzenie walki o demokratycznego ducha w „Wiciach”, w myśl starych tradycji tej organizacji”.

I. I.

LITERACI KANDYDUJĄ DO SEJMU

Listy państwowe i Okręgowe Bloku Demokratycznego już ogłoszono. Z dumą przeczytałem w „Dzienniku Polskim”, że óżolowy mi kandydatami Krakowa są: syn małorolnego chłopca spod Rzeszowa, awangardzista poeta Julian Przyboś, kandydat PPR-u, i sędziwa, znakomita beletrystka Zofia Nałkowska (z nadmiaru kurtuazji redaktor Bałicki nie podał przynależności partyjnej Nałkowskiej). Osobliwa radość sprawiło mi ujrzenie nazwiska świetnego pamfletysty i mówcy Adama Polewki, na pierwszym miejscu w okręgu myślenickim, jak i znalezienie na liście kandydackiej w Tarnowie zapomnianego nowelisty chłopskiego, Józefa Łabuz.

U nas w Łodzi jednak jest trochę gorzej z reprezentacją literatów na listach. Nie kandydują „Kućniczanie”, choć wszyscy spodziewaliśmy się ujrzeć na plakatach w naszym mieście tak Kotta jak i Żółkiewskiego. Z literatów chłopskich kandydują mniej więcej ci, co już mieli mandaty w RKN: Kowalski, Król, Ozga-Michalski, Kubicki. Raczej wygląda na to, że wszyscy oni zostaną wybrani, choć nie będzie to łatwe, bo są nie na najlepszych miejscach.

Miejmy nadzieję, że w przyszłym sejmie zobaczymy taką ekipę literacką: Nałkowska, Przyboś, Kowalski, Kruczkowski, Polewka, Król, Kubicki, Żółkiewski (z listy państwowej), Łabuz i Ozga-Michalski.

i. ch.

POETOM LUDOWYM KU UWADZE

Na łamach „Wiś” od samego jej założenia dosyć liczna grupa poetów ludowych zamieszcza swe prace posiadające niewątpliwie poważną wartość literacko-kulturalną. Zachodzi tu jednak kwestia, która ze względów społecznych chciałem choć w krótkości poruszyć. Mianowicie chodzi mi o sposób pisania tak, by te wartości mogły być bez trudu przyswajane przez szerokie masy ludu wiejskiego. Stwierdzić tu muszę, że zadanie to nie spełnia się w całości. Często ma się wrażenie, że poeci tytułujący się chłopskimi, ztratili bezpośrednią łączność z wsią, z której wyszli. Wskazuje na to stosowanie różnych łamańców i wyrażeń słownych, nad których zrozumieniem często nawet czytelnik człowiek trudzić się musi, jak również pisanie wierszy bez treści i sensu (a są i takie, niby to wiersze pisane wysoka techniką pisarską, lecz bez wartości realnych). Jeżeli się pisze i drukuje, to chyba nie tylko

dla siebie i małego grona wtajemniczonych. Tu powinno chodzić o to, by nie tylko jednostki, lecz cały ogół mógł czerpać z naszej literatury pięknej. Masy ludu powinny się podnosić w życiu kulturalnym jako całość, gdyż tylko w tym wypadku rosnąć będą duchowe siły narodu. Niechaj nikt nie myśli, że chcę, by nastąpił nawrót do tak zwanej poezji częstochowskiej czy kalwaryjskiej, bynajmniej, tu nie chodzi o łatwiznę rymów, lecz o treść i sens i rozumny układ pisanych wierszy. Jako chłop, próbujący też w wolnym czasie pióra, znam dokładnie, czego wieść potrzebuje i co przyjmuję i jaką pożywką kulturalną trzeba ją karmić. Poezja, to piękno, które udzielać się winno wszystkim, tak małym jak i wielkim, lecz tym pierwszym trzeba to piękno starać się przybliżyć, a nie, jak to się dzieje, oddalać go od tych, co go łakną. Wiem, że uwagi moje nie będą się podobać wielu, lecz to nie zmienia rzeczy, wszak pismo jest dla ludu, a nie odwrotnie i do tego chcąc być użytecznym w budowie kultury ludowej, trzeba się w odpowiedniej mierze przystosować.

Stanisław Paleczny

SPRAWA „NIEZROZUMIALSTWA”

Krótką wypowiedź ludowego pisarza Stanisława Palecznego ożywia zagadnienie, które było przedmiotem gwałtownych dyskusji w latach dwudziestych, a mianowicie sprawę t. zw. „niezrozumialstwa”. Wtedy jednak dyskusja toczyła się wyłącznie w sferach literackich i była walką wyznawców różnych doktryn artystycznych. Dzisiaj sytuacja jest zupełnie inna: atak na „niezrozumialstwo” podjęty zostaje w imię popularności literatury, dostępności jej dla szerokiego masowego czytelnika. I dlatego też problem „niezrozumialstwa” należy przemyśleć na nowo: nie z punktu widzenia walki konkurencyjnej między nowatorami a tradycjonalistami literackimi, lecz z punktu widzenia społecznej roli literatury.

Rzecz jasna, że nowy czytelnik (zwłaszcza wiejski) ma duże trudności z przyswajaniem sobie utworów awangardowych, często nawet dla czytelnika inteligenta „ciężkich”. Ale czy zarzut społecznej nieprzydatności wysuwany pod adresem tego rodzaju literatury jest zupełnie słuszny? Oczywiście trudno bronić snobów sztukiujących łamańcami technicznymi swoją pisarską nieporadność, ale czy w odniesieniu do prawdziwych talentów, poszukujących ambitnie nowych dróg twórczości, atak na „niezrozumialstwo” nie będzie zarazem atakiem na rzetelne nowatorstwo artystyczne i kulturalne? Zarzuty formułować łatwo, ale ostrożnie przy ich stawianiu nigdy nie zawadzi.

Może dobrze byłoby stanąć raczej na stanowisku, że czytelnikowi wiejskiemu należy dostarczyć wznowień z naszej dawnej literatury, aniżeli wymagać od pisarzy współczesnych, by stosowali się do niewyrobionych gustów czytelnicznych. Takie postawienie sprawy oczywiście zagadnienia nie rozwiązuje, ale usuwa możliwości pewnych bardzo zasadniczych nieporozumień. Otwartą pozostaje nadal inna kwestia: a mianowicie czy młodzi pisarze ludowi powinni nawiązywać do utraconej tradycji literackiej czy też szukać natchnienia w próbach awangardy poetyckiej. Paleczny uważa zdaje się, że wszelka dyskusja na ten temat jest zbędna. Nam jednak wydaje się, że dawania odpowiedzi tak jednoznacznej jest zbyt prostym rozcięciem bardzo skomplikowanego problemu.

Dobrze byłoby, gdyby w tej sprawie zechcieli się wypowiedzieć sami pisarze. Sądzi mi, że temat ten powinien ich żywo zainteresować i dlatego chętnie otworzymy łamy „Wiś” dla ewentualnej dyskusji nad zagadnieniem „niezrozumialstwa”.

s. I.

WSPANIAŁOMYŚLNY GEST

NOWY JORK (PAP). „New York Daily Worker” donosi, że agencja United Press, z powołaniem się na informacje z kwatery amerykańskiej we Frankfurcie podał, że amerykańskie władze okupacyjne zwolniły na „słowo honoru” pod warunkiem nie opuszczania strefy amerykańskiej około 300 hitlerowców wysokich rang, łącznie z b. członkami sztabu generalnego Niemiec i broni SS.

Akcja ta nie obięto Niemców internowanych w obozach i oczekujących postępowania denazyfikacyjnego.

Te same źródła donoszą, że około 40 wysokich oficerów niemieckich, przebywających w areszcie amerykańskim, którzy przydzieleni są do „Army Historie Division” i pomagają przy opracowaniu szczegółowych opisów poszczególnych kampanii niemieckich, otrzymało 2-tygodniowe urlopy świąteczne. Wiadomość powyższa nie ukazała się w żadnym innym dzienniku nowojorskim.

Przeciętny czytelnik czyta i nie wierzy własnym oczom: jak to, już... urlopy, już „słowo honoru”? Po jakimś czasie zaledwie miesiąc od zakończenia najkrwawszej rzeki w historii świata? Dla ludzi, którzy kategorię winy mierzą kategoriami kary jest

to coś co się wymyka z ram logicznego myślenia.

Wygląda na to, jakby cała sprawa Niemiec, a w szczególności ich odpowiedzialność za tę wojnę weszła na jakąś bardzo śliską ścieżkę. Coś się tu nie tak dzieje, jak by wysnuł szary, najwykleszy człowiek doświadczający na swojej skórze twardości niemieckiej ręki ubroczonej krwią tyłu mordowanych narodowości.

Jeśli tak dalej pójdzie, to w takim razie nie powinien zadziwić nas fakt, jeśli wkrótce wręczą im do rąk palmy zwycięstwa?

Jakby dla jaskrawego przeciwstawienia zdarzeń dziejących się na zachodzie rysuje się w naszej świadomości narodowej warszawski proces hitlerowskich morderców: Fischera, Daumego, Meissingera i Leista, żywych duchów naszego okupacyjnego życia.

Proces przypomina po raz wtóry wszystkie te zdarzenia, o których wiadomość ścinała krew w żyłach: Wawer, ghett, masowe rozstrzeliwania, spalanie stolicy, niszczenie wszystkiego dorobku kulturalnego narodu.

Karę za to ponieść mogą tylko jedna — muza zawiśnięć.

Więc z jednej strony urlop świąteczny i „słowo honoru”, a z drugiej kara śmierci? A przecież ci i tamci to koledzy.

m. d.

O ŚMIERCI KADENA

Jak powszechnie wiadomo w czasie powstania Warszawskiego zginął Juliusz Kadenski, jeden z największych powieściopisarzy okresu międzywojennego. Śmierci Kadena - Bandrowskiego poświęcił obszerną literacką relację Jan Wiktor w numerze ósmym „Warszawy”. Relacja ta napisana jest w formie kartek z pamiętnika (26 i 27 sierpień 1944 r.) zawierających cały szereg impresji, które zdążają do wydzwiku legendy o Kadencie.

Na tle atmosfery powstańczej Warszawy, umęczonej bombardowaniem, kreśli Wiktor postać Kadena, czarującego wesołego człowieka, który w przerwie między nalotami ujmował miotłę, aby wraz z innymi uprzątnąć podwórce. Zbłąkany odprysk granatu w chwili ciszy rani go śmiertelnie. W relacji godzin konania i pogonnych Wiktor wpłata element opisu z elementem legendy Kadena, jako piekcy epoki zamkniętej, skończonej na zawsze.

Jednocześnie w dialogu końcowym Wiktor uderza w tę legendę sądem realistycznym. „Umarł zwyciężając, na łóżku, (a nie na barikadach), charakteryzując się odłamkiem w brzuchu”.

Dobrze się stało, że w chwili obecnej poświęcono dłuższe wspomnienie Kadonowi, który był niewątpliwie wielkiej miary pisarzem, nie tylko na tle literatury międzywojennej, ale którego również słusznie charakteryzują następujące zdania Wiktora: „Kaden był pewnego rodzaju symbolem tego okresu, od którego społeczeństwo odwróciło się na zawsze. Życie zatrasnęło za niesławną epoką żelazne drzwi”.

p. z.

Od Redakcji

W nr 50 „Wiś” ukazała się recenzja członka naszego kolegium redakcyjnego Stefana Lichańskiego z tomu wierszy Seweryna Pollaka „Godzina życia”. Na recenzję tę odpowiedział tyg. „Kućnica”, którego współpracownikiem jest p. Pollak, następującą notą:

NIEWŁAŚCIWE MIEJSCE

„Co właściwie znaczy powiedzenie takie, jak np.: X jest poetą z urodzenia? Sądze, że mniej więcej to samo, co powiedzenie: Y jest uczciwym człowiekiem, gdyż obie te wypowiedzi są niezbyt jasne wskutek użycia terminów o treści chwiejnej i bliżej nieoznaczonej” — tymi słowami p. Stefan Lichański zaczyna recenzję z książki Seweryna Pollaka, po czym na przestrzeni całej recenzji dowodzi, że Pollak nie jest „poetą z urodzenia”.

Kończy zaś recenzję tak: „Ponieważ u nas stale jeszcze panuje przewaga tendencji „natchnieniowych”, „bezpśredniościowych” taką robotę poetycką jaką uprawia Pollak, należy uznać za celową i pożyteczną. Udowodnić, że wiersz można zrobić tak samo — jak np. szafę! Bez natchnienia i bez używania do tego t. zw. „krytyki serdecznej”. To wcale nie głupi pomysł! Sugestywność wierszy Pollaka ostabia naprawdę... itd”.

Próbkę stylu p. Lichańskiego daliśmy celowo, żeby pokazać jak wygląda w Polsce praca recenzenta nieuczciwego, recenzenta, który fałszywe metody krytyczne łączy ze złośliwością.

P. Stefan Lichański pracuje w tyg. „Wiś”, czytany przez młodą wiejską inteligencję. P. Stefan Lichański uchodzi w pewnych kołach literackich za „krytyka” i „znawcę” poezji. P. Stefan Lichański dobrze wie, że używane przez niego pojęcia z zakresu poetycznej i domorosłej psychologii twórczości w krytyce literackiej nie nie znaczą, używa ich w cudzysłowie, a mimo to używa ich, ponieważ są mu potrzebne w zabiegu, który ma w dziennikarstwie określone nazwę, a mianowicie nazwę insynuacji. Cała recenzja z tomu wierszy Seweryna Pollaka jest insynuacją dotyczącą psychologii twórcy poety wykorzystującą haminy u nas w dziedzinie krytyki literackiej (nawet na katedrach historii lite-

ratury) analfabetyzm metodologiczny. Przytoczony przez nas na wstępie okres, zawierający niedokończone równanie logiczne, jest pośrednią insynuacją, że jako „poeta” nie z urodzenia — Pollak jest czymś w rodzaju nieuczciwego człowieka. Insynuacji tej nie zaciera tolerancja Lichańskiego w zakończeniu recenzji, ale ją podkreśla, będąc obliczoną na wiadomą reakcję nie orientującego się w problematyce krytycznej czytelnika.

My w stosunku do p. Lichańskiego nie zamierzamy używać narzędzi insynuacji i posługiwać się nieudowodnieniami. Swojego czasu wskazywaliśmy wyraźnie, jaki mają sens teoretyczne wywody p. Lichańskiego o kulturze, którymi popisywał się na łamach „Wiś”. Jota w jotę to samo dziś czytamy w „agrarystycznych” pomysłach publicystów ze „Wiś” i Państwa”, organu PSL. P. Lichański stał się ogólniejszym, przerzucił się na krytykę literacką. Na podstawie całej jego przed i po wojennej pracy publicystycznej musimy stwierdzić, że pod pozorami fałszywego „obiektywizmu” zwalcza namiętnie i personalnie, z przebiegłością dobrego taktika, wszelkimi metodami, jakie są w danej chwili wygodne, wszystkich pisarzy związanych z ruchem lewicy, których w ramach wewnętrznej cenzury własnych kolegów z tyg. „Wiś” wolno mu dosięgnąć. Miejsce p. Lichańskiego nie jest jednak w tyg. „Wiś”. Jest ono w otoczeniu pp. Szczawiejów i Dzikowskich. Tylko tam, stosując podobne metody oceny literackiej, szedby nie tylko za głosem serea, ale i dyspozycji swych mocodawców.

rde.

(„Kućnica”, nr 51 z dn. 31.12.1946).

Treść i forma owego wystąpienia mówią za siebie wystarczająco, to też jakiegokolwiek komentarze są w tym wypadku najzupełniej zbędne. Dyskusji na tym poziomie i w tym stylu prowadzić oczywiście nie zamierzamy, poprzestajemy więc na zapoznaniu opinii publicznej z metodami polemicznymi tyg. „Kućnica”.

Redakcja tygodnika „Wiś”.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Wydawnictwa „Książki”

H. C. Andersen — Baśnie, str. 148.
Diderot — Kubuś fatalista i jego pan, str. 300.
Halina Górska — Druga brama, str. 232
Dr F. Friedman — Tadeusz Holuj — Oświęcim, str. 308.
Lucyna Krzemieniecka — O młynarzu Sylwestrze str. 57.
Wanda Markowska — Anna Mińska — Baśnie z całego świata, str. 178.
Poradnik rolnika — Kalendarz na rok 1947, str. 260.

W OSTATNIM 1 (80) NUMERZE „Wiś” z dnia 5 stycznia 1947 r.:

Jan Aleksander Król — Miłkowszczyzna (I); G. K. Chesterton — Trzej Królowie — (przeł. Tadeusz Chrościelewski); Bylina o zagładzie bohaterów — Od tłumacza: Tadeusz Chrościelewski; Władysław Błachut — Zmienimy gospodarce oblicze wsi; Edmund Calka — Ranek; Zygmunt Jakimiak — Od pasienia krów do Chesterton; Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś: Bieniek Józef, Adolf Kotarba, Mikołaj Smigulcz; Zbigniew Krafczykowski — Czy w Polsce będą traktozy? Jan Marszałek — Literatura pod strzechą; Witold Woroszyński — Żniwa; Józef Bieniek — Na śląskim Podhalu; Piotr Stanisław Ziarnik — Mozaika literacka; Włodzimierz Wnuk — Powiedzonka góralskie; komunikaty, ogłoszenia, 2 ilustracje, 12 stron.

OD ADMINISTRACJI

Administracja tygodnika „Wiś”, przypomina o wpłacie zaległej prenumeraty

Nr. Konta P.K.O. Łódź VII-1080

Prenumerata „Wiś” wynosi zł 25 miesięcznie, zł 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
Komitet redakcyjny: Kalużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Pięta Stanisław.

Komitet terenowy: Frasiak Józef Andrzej, Nędra Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wiś”, Łódź, Piotrkowska 96. I p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź ul. Żwirki 2.

D—